

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

TAJEMNICA MIKSTEKÓW

Karol May

PORWANI PRZEZ KOMANCZÓW

Było to jesienią roku 1847. Po rzece Rio Grande del Norte płynęła wolno lekka łódź. Siedziało w niej dwóch mężczyzn, należących do różnych ras. Jeden kierował sterem, drugi zajęty był przygotowaniem ładunku z papieru, prochu i kul. Człowiek przy sterze miał ostre rysy, a przenikliwe, bystre oczy zdradzały Indianina; zresztą sam strój wskazywał na przynależność do czerwonej rasy. Ubrany był w skórzaną kurtkę, skórzane spodnie ze zwisającymi z boku skalpami zamordowanych wrogów. Na nogach miał mokasyny o podwójnych podeszwach, na szyi sznur zębów niedźwiedzi, z przepaski na czarnych włosach strzelały trzy orle pióra. Wszystko to świadczyło, że jest wodzem. Obok niego leżała w łódce wspaniała skóra bawola, służąca za płaszcz, a na niej długa dubeltówka; na kolbie widocznych było sporo nacięć — rejestr zabitych z niej wrogów. U pasa świecił tomahawk i obosieczny nóż do skalpowania. Na szyi miał jeszcze kalumet, a z kieszeni kurtki wystawały kolby dwóch rewolwerów. Ta broń, tak rzadko przez czerwonoskórych używana, wskazywała, że utrzymywał ścisły kontakt z cywilizowanym światem. Sprawiał wrażenie człowieka zupełnie pochłoniętego swoją pracą, ale nie uszłoby z pewnością uwagi badawczego obserwatora, że spod opuszczonych powiek uważnie śledzi brzeg rzeki.

Towarzysz jego natomiast należał do białej rasy. Był rostry, wysoki, dobrze zbudowany, a twarz zdobiła długa, jasna broda. I on miał na sobie skórzane spodnie wpuszczone w wysokie buty. Ubrany był ponadto w niebieską kamizelkę i myśliwską kurtkę tego samego koloru, a na głowie miał kapelusz filcowy o szerokim rondzie, tak często spotykany na Dalekim Zachodzie. Kapelusz stracił formę i wypłowił. Mężczyźni wyglądali na niecałe trzydzieści lat. Obydwaj nosili ostrogi, co świadczyło, że do łodzi zeszli prosto z koni.

Gdy tak płynęli wzdłuż rzeki, niesieni jej prądem, usłyszeli nagle rzenie konia. Błyskawicznie, jeszcze parskanie nie ucichło, a już leżeli na dnie łodzi, aby z brzegu nikt ich nie dojrzał.

— Shli! — wyszeptał w narzeczu Apaczów Jicarilla Indianin.

— Stoi gdzieś niedaleko — dopowiedział biały. — Zwietrzył nas! Tylko kto na nim jedzie?

— Nie jest to ani Indianin, ani biały — zauważył myśliwy. — Człowiek doświadczony nie pozwoli nigdy, by koń jego rżał tak głośno. Dopłynęmy do brzegu, wysiadźmy i podkradnijmy się do niego.

— Porzucając łódź? — zapytał Indianin. — A jeżeli to wrogowie, którzy chcą zwabić nas na brzeg i pozabijać?

— Przecież mamy broń!

— Niech lepiej mój biały brat zostanie w łodzi, a ja przeschukam okolicę.

— Zgoda.

Łódź przybiła do brzegu. Indianin wyszedł na ląd, biały pozostał w łodzi, trzymając broń w pogotowiu. Po kilku minutach Apacz wrócił.

— No i co?

— Jakiś biały człowiek śpi tam, pod krzakiem.

— Czy to myśliwy?

— Ma tylko nóż przy sobie.

— W pobliżu nie ma nikogo?

— Nie widziałem.

— A więc chodźmy tam. Mężczyzna wyskoczył z czółna i przywiązał je do drzewa. Wziął swoją strzelbę, wyciągnął oba rewolwery. Tak uzbrojony poszedł za Indianinem. Droga była krótka. Obok śpiącego stał koń przywiązany do drzewa, osiodłany na sposób meksykański. Śpiący ubrany był w

meksykańskie spodnie, rozszerzające się ku dołowi, białą koszulę i niebieską kurtkę, przerzuconą przez plecy na modłę husarską. Spodnie z koszulą łączyła żółta chustka, zawiązana jak pas. Przy pasie, oprócz noża, nie było żadnej broni. Na głowie miał żółte sombrero. Spał tak twardo, że nie poruszył się, gdy Indianin i biały podeszli do niego.

— Halo, chłopcze, wstawaj! — zawołał myśliwy, klepiąc śpiącego po ramieniu.

Chłopiec obudził się, skoczył na równe nogi, wyciągnął nóż.

— Do diabła, czego chcecie? — zapytał, mrużąc jeszcze na wpół sennie powieki.

— Przede wszystkim musimy wiedzieć, kim ty jesteś.

— A kim wy jesteście?

— Mam wrażenie, że się boisz tego czerwonoskórego Niepotrzebnie, mój drogi. Jestem Europejczykiem, nazywam się Unger, a mój towarzysz to Shosh-in-lit, wódz Apaczów Jicarilla.

— Shosh-in-lit? W takim razie nie mam powodu do obaw, bo wielki wojownik Apaczów jest przyjacielem białych.

— A więc kim jesteś?

— Jestem vaquero

— U kogo służysz?

— Służę po tamtej stronie rzeki, u hrabiego Rodrigandy.

— W jaki sposób dostałeś się tutaj?

— To wy raczej odpowiedzcie na to. Mnie gonią Komanczowie.

— Czyżby? Ścigają cię Komanczowie, a ty tymczasem śpisz sobie najspokojniej?

— A cóż mam robić, skoro padam ze zmęczenia?

— Gdzie ich spotkałeś?

— Stąd na północ, niedaleko Rio Pecos. Było nas piętnastu i dwie kobiety, ich sześćdziesięciu.

— Do diabła! Czyście walczyli?

— Tak. Napadli na nas niespodzianie. Większość mężczyzn pomordowali, kobiety wzięli z sobą.

Nie wiem, ilu naszych oprócz mnie uszło z życiem.

— Skąd przybywasz i dokąd jedziesz?

Vaquero nie był rozmowny, trzeba było wyciągać z niego słowo po słowie.

— Jechaliśmy konno do fortu Guadalupe po dwie damy, które tam były z wizytą.

— Ależ Rio Pecos wcale nie leży po drodze.

— Zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną, urządziliśmy sobie małą wycieczkę do Rio Pecos.

Tam nas napadnięto.

— Co to za damy?

— Seniorita Arbellez i Indianka Karia.

— Kim jest seniorita Arbellez?

— Córką naszego dzierżawcy, Pedra Arbelleza.

— A Karia?

— To siostra Tecalty, wodza Miksteków. Shpsh-ih-lit słuchał uważnie.

— Siostra Tecalty? — zapytał. — Tecalto jest moim przyjacielem. Wypaliliśmy razem fajkę pokoju. Siostra jego nie może pozostawać w niewoli. Czy mój biały przyjaciel pojedzie ze mną, by ją uwolnić?

— Przecież nie macie koni — wtrącił vaquero. Indianin obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

— Niedźwiedzie Serce ma konia, gdy go potrzebuje. W ciągu godziny ukradnę konia tym psom

Komańczom

— A to byłaby heca!

— Kiedy was napadnięto? — zapytał Unger.

— Wczoraj wieczorem.

— Jak długo tutaj spałeś?

— Nie dłużej niż kwadrans.

— W takim razie Komanczowie przybędą już wkrótce

— Do licha!

— Jesteś vaquero, a nie znasz obyczajów wojowników indiańskich? Jakie mają twoim zdaniem zamiary wobec kobiet? Czy porwali je, by zażądać okupu?

— Nie, na pewno nie! Porwali, by pojąć je za żony; są bardzo piękne.

— Słyszałem, że kobiety Miksteków słyną z urody Komanczowie będą więc starali się zatrzeć za sobą ślady Czy wszyscy mieli konie?

— Tak jest.

— W takim razie zaraz tu będą. Zdaje się, że nie grzeszysz rozumem. Czy nie pomyślałeś o tym, że będą cię ścigać na koniach? Dlaczego położyłeś się spać?

— Byłem zmęczony.

— Dlaczego nie uciekłeś przynajmniej na drugi brzeg rzeki?

— Woda głęboka. Koń by utonął...

— Dziękuj Bogu, że nie jesteśmy Komanczami. Zbudziłbyś się w raju, ale bez skalpu. Czyś głodny?

— Jak wilk!

— No to chodź do łodzi! Ale najpierw zaprowadź konia głębiej w krzaki, by go nikt nie mógł zobaczyć.

Vaquero dostał porcję mięsa, wody napił się z rzeki. Gdy najadł się do syta, Unger podjął przerwana rozmowę. Dowiedział się, że vaquero pracował w jednej z posiadłości hrabiego Fernanda Rodrigandy, położonej między Kordylierami Coahuila a Rio Grande del Norte, rzeką, która oddziela Meksyk od Teksasu.

Po jakimś czasie Unger opuścił łódź i wdrapał się na górzysty brzeg, aby zlustrować okolicę. Zaledwie tam się dostał, zawołał:

— Oho, już są tutaj! Omal nie było za późno! Indianin zjawił się natychmiast u jego boku.

— Sześciu jeźdźców — zauważył.

— To znaczy, że na każdego z nas po trzech — dodał Unger, nie pomyślawszy nawet ani przez chwilę, aby vaquero mógł również stanąć do walki.

— Kto bierze konia? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Ja — odpowiedział Unger. Indianin rzekł jeszcze:

— Nikt z nich nie powinien ujść żywy! Unger zwrócił się do chłopca:

— Więc masz przy sobie tylko nóż? W takim razie nie będziesz nam pomocny. Zostań w łodzi, ja zaś wezmę twojego konia.

— A jeżeli go zabiją? — wyjąkał przerażony chłopak.

— Głupstwo, zdobędziemy sześć innych na jego miejsce!

Vaquero został więc w łodzi. Indianin z białym udali się na miejsce, gdzie nie tak dawno znaleźli śpiącego pastucha. Tam stanęli obok ukrytego w zaroślach konia i czekali.

Jeźdźcy zbliżali się szybko. Widać już było ich ubiór i broń.

— Tak, to psy Komańcze! — powiedział Niedźwiedzie Serce. — Noszą barwy wojenne, więc nie możemy mieć dla nich litości!

Komanczowie znajdowali się w odległości pół kilometra i jechali galopem. Minuta, dwie

dzieliły ich od zarośli.

— Te psy nie mają rozumu, nie umieją myśleć.

— Nie przypuszczają nawet, że vaquero się schował. Są pewni, że przepłynął rzekę.

Indianin podniósł strzelbę. To samo uczynił Unger. Po chwili rozległy się dwa strzały, po nich jeszcze dwa i czterech Komanczów leżało na ziemi. Teraz Unger wskoczył na konia i popędził przez zarośla. Pozostali dwaj Komanczowie nie zdążyli nawet pomyśleć o ucieczce, gdy traper już był przy nich. Podnieśli tomahawki do śmiertelnego ciosu, lecz Unger dwoma strzałami z rewolweru położył ich trupem.

Cała walka trwała zaledwie kilka minut. Konie zabitych udało się schwytać bez trudu.

Po chwili przybiegł na brzeg vaquero.

— Do licha, ależ to zwycięstwo! — cieszył się.

— Drobiazg. Co to dla nas sześciu Komanczów — bagatelizował Unger. — Właściwie należałoby oszczędzać krwi ludzkiej, gdyż najcenniejszy to płyn na świecie, ale cóż robić? Te zbóje nie zasługują na lepszy los!

Zabrano broń zabitych, a Indianin oskalpował swoje dwie ofiary. Wszystkie trupy wrzucono do rzeki

— Co teraz? — zapytał Unger.

— Trzeba ratować siostrę mojego przyjaciela.

— Czy weźmiemy chłopca?

Niedźwiedzie Serce obrzucił Meksykanina lekceważącym spojrzeniem, po czym rzekł:

— Jak uważasz. — Chcę iść z wami — prosił pastuch.

— Nie sądzę, byś nam był potrzebny, bohaterem nie jesteś — powiedział Unger.

— Przecież nie miałem broni.

— Ale wczoraj także uciekłeś.

— Tylko dlatego, żeby sprowadzić pomoc.

— Aha! Czy potrafisz odnaleźć miejsce, gdzie was napadnięto?

— Tak.

— Więc zabierzemy cię z sobą. — Czy mogę wziąć broń?

— Naturalnie. Weź i konia, ale nie swojego, zostawimy go tutaj, jest zbyt zmęczony.

Wybrali trzy najlepsze konie, resztę zostawili i wyruszyli w drogę.

Jechali na północ, ku Rio Pecos. Droga wiodła z początku przez prerię, później przez lesiste wyżyny. Pod wieczór, dotarłszy do jakiegoś pagórka, ujrzeli gromadę ludzi.

— Uff! — zawołał Niedźwiedzie Serce jadący na czele — Indianie!

Unger wyciągnął lunetę i patrzył przez nią uważnie.

— Co widzi mój biały brat? — zapytał Indianin.

— Czterdziestu dziewięciu Komanczów i sześciu jeńców.

— Czy są wśród nich kobiety?

— Tak, dwie. Uwolnimy je nocą.

Indianin skinął głową.

— Trzeba się ukryć — rzekł Unger. — Zapewne oprócz naszego vaquera uciekli i inni. Indianie oczywiście szukają ich. Ci, którzy będą wracać z pościgu, mogliby nas łatwo odkryć. Zostań przy koniach! — zwrócił się do chłopca. — My musimy zatrzeć ślady.

Powrócił z Apaczem tą samą drogą, którą przybyli. Po zatarciu śladów wyszukali wzgórza pokryte gęstym lasem i tam ukryli się wraz z końmi.

Nadeszła noc. Cała trójka cierpliwie oczekiwała północy, najlepszej pory dla zwiadu.

— Czy pomyślałeś już, jak powinniśmy postąpić? — zapytał biały Indianina.

— Tak. Mój biały brat umie zabijać tak, że ofiara nie wydaje nawet dźwięku. Podkradniemy się więc do nich, zamordujemy strażników, poprzecinamy więzy, którymi są skrępowani jeńcy, i uprowadzimy ich. Howgh!

— Trzeba zaczynać. Podkradanie się zajmie nam dużo czasu.

— Ale vaquera zostawimy, prawda?

— Tak jest. Będzie pilnował koni.

— Więc zaczynajmy!

Chwycili za strzelby i ruszyli w drogę, wydawszy przedtem chłopcu odpowiednie polecenia.

Noc była ciemna. Dolinę rozjaśniało jedynie słabe światło obozowego ogniska. Wokół niego spali Komanczowie, a obok nich leżeli skrępowani powrozami jeńcy.

Indianin szepnął:

— Ty pójdziesz na prawo, ja na lewo.

— Dobrze. Najpierw uwolnimy obydwie kobiety. Po tych słowach rozstali się.

Unger poczołgał się ku obozowi jak żmija. Musiał uważać, aby go nikt nie usłyszał, nikt nie zobaczył, żeby nie zwierzyły go konie, które niespokojnym parszaniem często zdradzają zbliżającego się nieprzyjaciela.

Po długim skradaniu się dotarł wreszcie do strażnika, kręcącego się tam i z powrotem. Będąc o pięć kroków od niego, Unger zerwał się raptownie, chwycił go lewą ręką za gardło, tak że ofiara nie mogła wydać głosu, a prawą zadał mu cios nożem w piersi. Indianin padł na ziemię jak kłoda.

W ten sposób rozprawił się w ciągu kwadransa z następnym Komanczem. Po chwili spotkał Apacza. Ten również zabił dwóch strażników.

— A teraz do kobiet — szepnął Niedźwiedzie Serce.

— Tylko ostrożnie!

— Pshaw! Wódz Apaczów jest odważny, ale i ostrożny. Naprzód!

Bardzo cicho zaczęli się skradać przez wysoką trawę w kierunku ogniska. Kobiety rozpoznali od razu po jasnej barwie ubrań; leżały obok siebie, miały skrępowane ręce i nogi. Unger przyczołgał się pierwszy i zbliżył usta do ucha jednej z nich. Mimo ciemności zauważył, że otworzyła oczy i przygląda mu się uważnie.

— Nie bójcie się i bądźcie spokojne — wyszeptał. Zrozumiała go doskonale. Po chwili porozcinał jednej i drugiej rzemienie, które powpijały im się mocno w ciało. Indianin zajął się tymczasem pozostałymi jeńcami. Było ich czterech. I oni nie spali. Niedźwiedzie Serce zaczął przecinać im więzy. W pewnej chwili, gdy przystępował właśnie do uwolnienia czwartego, stanął przed nim jeden z Komanczów, obudzony szmerem. Chociaż Niedźwiedzie Serce natychmiast przebił go nożem, miał on jeszcze tyle siły, żeby wydać ostrzegawczy okrzyk.

— Dalej, do koni, za mną! — krzyknął Apacz.

Mężczyźni zerwali się na równe nogi, poskoczyli do koni.

— Na miłość boską, prędej — zawołał Unger do jednej z kobiet, która tak była osłabiona, że prawie nie mogła się ruszać. — Niedźwiedzie Serce! Chodź tu! Prędej, prędej!

Indianin chwycił kobietę na rękę i wsadził na konia. Unger uczynił to samo z drugą. Poprzecinawszy lassa, na których były uwiązane konie, rzucili się do ucieczki. Wszystko to odbyło się błyskawicznie, w tej samej chwili powietrze rozpruły strzały Komanczów. Zaskoczeni napadem, biegali tam i z powrotem, nie mogąc zorientować się, co zaszło. Pościg rozpoczęli dopiero wtedy, gdy zbiegów unosiły już konie.

Unger i Indianin, którzy znali drogę, jechali przodem. Na wzgórzu czekał vaquero z dwoma

końmi.

— Pędź za nami! — krzyknął Unger.

Wśród ciemnej nocy uciekali jeńcy ze swoimi wybawcami, za nimi gnali Komanczowie, usiłując dosięgnąć zbiegów strzałami. Dopiero po wydostaniu się z doliny, na szerokiej prerii, Unger pomyślał o obronie.

— Czy senioritą jeździ konno? — zapytał białą kobietę, którą trzymał przed sobą.

— Tak.

— Oto wodze. Niech pani pędzi naprzód!

Sam wskoczył na konia, prowadzonego przez vaquera. Niedźwiedzie Serce uczynił to samo. Unger i Indianin tworzyli teraz tylną straż, powstrzymując nieprzyjaciół strzałami ze swych strzelb. Szalona ucieczka trwała do rana. Wtedy zobaczyli, że Komanczowie zostali daleko w tyle.

— Może zwolnimy nieco? — zapytał vaquero.

— Nie — odparł Unger. — Musimy mieć za sobą rzekę, wtedy dopiero będziemy bezpieczni.

Teraz też przypatrzył się uważniej swym towarzyszkom.

Jedna była Hiszpanką, druga Indianką. Obydwie odznaczały się niezwykłą urodą.

— Czy ma pani jeszcze siły do tej szalonej jazdy? — zapytał Hiszpankę.

— Ależ nie czuję wcale zmęczenia.

— Jak mam panią nazywać?

— Imię moje Emrna. Nazwisko Arbellez. A pańskie?

— Unger. Czy ma pani do mnie zaufanie?

— Tak.

— Musimy przeprawić się przez rzekę. Nie mamy dostatecznej ilości broni, a nad Rio Grande została reszta tej, którą wczoraj odebraliśmy Komańczom.

— Walczyliście już wczoraj?

— Tak. Położyliśmy trupem wszystkich, którzy ścigali vaquera. On to powiedział nam, że panie są w niewoli.

— Co za odwaga! — Przy tych słowach obrzuciła Ungera ciepłym spojrzeniem swych ciemnych oczu.

Gdy dotarli do Rio Grande, nie widać już było ścigających Komanczów. Unger rozdzielił między wszystkich broń, która tu leżała od poprzedniego dnia. Spośród jeńców trzech było vaquerami, jeden majordomem.

— Co robić? — zapytał jeden z nich. — Czy czekać na Indian? Mamy osiem strzelb, można by im dać nauczkę.

— Czy nie szkoda niepotrzebnie przelewać krwi?

— Niepotrzebnie? Jeśli nie rozprawimy się z nimi, będą nas ustawicznie ścigać.

— Ale za tych zabitych mściliby się inni. Lepiej jechać dalej — odparł Unger. — Panie pojedą łódką, my konno.

Usłuchano go bez sprzeciwu. Majordom przewiózł kobiety łódką, reszta przeprowiła się w bród na koniach. Potem zatopiono czołno. Galopowali jeszcze przez kilka godzin nizina, aż w końcu cała kawalkada zwolniła szalone tempo. Jechali stępa.

— Podróżujemy obok siebie od paru godzin, a właściwie prawie się nie znamy — rzekł Unger do Emmy Arbellez.

— Ha, przeciwnie, poznałam pana doskonale — odpowiedziała wesoło. — Wiem, że pan szafuje swym życiem dla innych i że jest dzielny, odważnym myśliwym.

— No tak, ale to niewiele. Mam na imię Anto,nio. Gdy mój ojciec umarł, wyemigrowałem w

młodym wieku do Ameryki, gdzie po wielu przygodach żyję, jak seniorita widzi, na prerii.

— Ale w jaki sposób dostał się pan tutaj, nad Rio Grande?

— To sprawa, której nie chciałbym poruszać.

— Więc tajemnica?

— Może tajemnica, może zwykła dziecinada...

— Jestem bardzo ciekawa.

— Nie chcę pani zanudzać — odpowiedział Unger z uśmiechem. — Chodzi tu ni mniej, ni więcej tylko o niezwykły skarb.

— Co to za skarb?

— Skarb prawdziwy, drogocenne kamienie i szlachetne metale, pochodzący z dawnych, zamierzchłych czasów.

— Gdzie on jest?

— Tego jeszcze nie wiem.

— A kto panu mówił o nim?

— Daleko na północy wyświadczyłem pewnemu staremu i choremu Indianinowi przysługę. Przed śmiercią wyznał mi tajemnicę skarbu.

— Ale nie powiedział najważniejszej rzeczy, gdzie skarb jest ukryty?

— Wiem tylko, że znajduje się w Meksyku, w prowincji Coahuila. Stary dał mi mapę, według której mam się zorientować.

— Do jakiej okolicy odnosi się ta mapa?

— Tego nie wiem. Na mapie są wzgórza, doliny, rzeki, ale ani jednej nazwy.

— To ciekawe. Czy pański towarzysz wie o skarbie?

— Nie.

— Ten człowiek jest przecież pańskim przyjacielem, prawda?

— Tak, serdecznym przyjacielem.

— I dlaczego to mnie, osobie, nie znanej, zwierzył senior tajemnicę skarbu, a nie jemu?

Unger obrzucił piękną Hiszpankę spojrzeniem swych niebieskich oczu i odparł:

— Są ludzie, przed którymi nie wiadomo nawet dlaczego człowiek spowiada się z najstaranniej ukrywanych tajemnic...

— Do tych ludzi zalicza pan mnie?

— Tak.

Zarumieniała się i podając mu rękę rzekła:

— Będę z panem szczerą. Wyjawię coś, co ma związek z tajemnicą. Czy mam mówić?

— Ależ bardzo proszę — odpowiedział zaskoczony i zdziwiony.

— Znam mianowicie kogoś, kto również myśli o tym skarbie...

— Któż to taki?

— Nasz młody hrabia Alfonso de Rodriganda y Sevilla, bratanek i spadkobierca bezdzietnego hrabiego Fernanda. W poszukiwaniu skarbu bawi obecnie u mojego ojca.

— Co on wie o skarbie?

— Wszyscy wiemy doskonale, że poprzedni władcy tego kraju ukryli swe skarby, gdy Hiszpanie zdobywali Meksyk. Poza tym są miejsca, gdzie zakopano masy złota i srebra. Indianie znają te kryjówki, woleliby jednak umrzeć, aniżeli białym powierzyć swoją tajemnicę.

— Kto rozmawiał o skarbie z hrabią Alfonsem?

— Nikt. Przecież mieszkamy w hacjendzie del Erina, a tam chodzą słuchy, że gdzieś w pobliskiej grocie władcy Miksteków ukryli swe skarby. Szukało groty wielu, między innymi hrabia Alfonso, ale

na próżno.

— Gdzie leży ta hacjenda?

— Mniej więcej o dzień drogi stąd, u stoku góry Coahuila. Mam nadzieję, że pan ją pozna, odprowadziwszy nas do domu.

— Nie opuszczę pani, póki nie będę pewien, że żadne niebezpieczeństwo już nie grozi.

— A gdy niebezpieczeństwo minie, czy zechce pan być naszym gościem?

— Bezpieczeństwo pani wymaga, bym ją niestety wcześniej opuścił. Zamordowaliśmy wielu Komanczów. Jestem przekonany, że wywiadowcy depczą nam po piętach. Mogą się na nas mścić. Dlatego zawrócę z Niedźwiedzim Sercem przed hacjendą, aby zmylić czujność wrogów.

— A nie obawia się pan, że napadną na nas, zanim zdążymy wrócić do hacjendy?

— Nie, to wykluczone. Czerwoni orientują się tylko po śladach, a my przecież jedziemy również w nocy. Więc wyprzedzamy ich o dobre parę godzin. Ale wróćmy do skarbu. Czy istotnie nikt nie wie, gdzie leży ta grotka?

— Przynajmniej nikt z białych.

— Aż Indian?

— Przypuszczam, że jeden spośród nich, może dwóch, wie dokładnie, gdzie został ukryty królewski skarb. Tajemnicę tę dziedziczy zapewne Tecalto, jedyny potomek dawnych władców Miksteków. Karia, która jedzie obok Niedźwiedziego Serca, jest jego siostrą. Może Tecalto powierzył jej sekrety przodków.

Unger zaczął przypatrywać się Indiance z większą niż dotychczas uwagą.

— Czy jest bardzo skryta?

— O, tak! — potwierdziła Hiszpanka. A potem dodała z uśmiechem: — Chociaż powiadają, że kobieta bywa niedostępna tylko do pewnej granicy.

— Co jest tą granicą?

— Miłość.

— Czy sądzi pani, że Karia zbliżyła się do tej granicy?

— Uważam to za bardzo prawdopodobne.

— Któż jest tym szczęśliwcem?

— Niech pan zgadnie, to nie tak trudno. Unger zamyślił się, zmarszczył czoło.

— Przypuszczam, że to hrabia Alfonso, który tą drogą chce zdobyć tajemnicę.

— Zgadł pan.

— Sądzi pani, że jego wysiłki mogą odnieść skutek?

— Ona go kocha.

— Cóż na to jej brat?

— Może nie wie o niczym. Jest to najślawniejszy cibolero, rzadko bywa w domu.

— Najślawniejszy cibolero? Powinienem znać jego imię. Nie przypominam sobie jednak, bym się spotkał z imieniem Tecalto.

— Myśliwi nazywają go Mokashi-tayiss.

— Bawole Czoło? — zdumiał się Unger. — Znam go doskonale ze słyszenia. Chętnie bym nawiązał z nim kontakt. Więc Karia jest siostrą tego sławnego człowieka? To zmienia postać rzeczy.

— Czy chce pan i jej pokazać, jak umie być szarmancki? Uśmiechnął się melancholijnie.

— Czy człowiek Dalekiego Zachodu potrafi być szarmancki? Jakże mógłbym współzawodniczyć z hrabią Rodrigandą? A zresztą, gdybym umiał być szarmancki, wolałbym okazać się takim wobec kogoś innego.

— Któż to taki?

— Pani, seniorito!

Oczy jej zabłyśły radośnie.

— Ależ ode mnie nie dowie się pan niczego o skarbie!

— Och, łaskawa pani, są skarby stokroć cenniejsze od złota i srebra. Taki skarb znaleźć, to dopiero byłoby szczęście!

— Niech pan szuka. Może go znajdzie. Podała mu rękę. Unger uściśnął ją serdecznie.

W dalszej drodze dowiedział się, że obie kobiety pojechały do Rio Grande del Norte, aby odwiedzić ciotkę Karii, która ciężko zaniemogła. Mimo jednak ich troskliwej opieki biedna staruszka zmarła. Po jej śmierci Arbellez wysłał po córkę i jej towarzyszkę majordoma z vaquerami. W drodze powrotnej napadli ich Komanczowie.

Kiedy Unger rozmawiał z panną Arbellez, Niedźwiedzie Serce jechał na koniu obok Indianki. Wzrok jego raz po raz padał na sąsiadkę, która tak pewnie siedziała na półdzikim rumaku, jak gdyby przez całe życie używała tylko indiańskiego męskiego siodła. Małomówny Apacz nie zwykł używać pięknych słów ani prawie komplementów, wołał więc nic nie mówić. Karia znała doskonale zwyczaje Indian, dlatego też nie dziwiło jej milczenie towarzysza. Wręcz przeciwnie, odczuła lęk, gdy Niedźwiedzie Serce zwrócił się do niej:

— Do jakiego plemienia należy moja młoda siostra?

— Do plemienia Miksteków — odparła.

— Było to kiedyś wielkie plemię i jeszcze dziś słynie z piękności swych kobiet. Czy moja siostra jest zamężna, czy też pozostaje w stanie panińskim?

— Nie mam męża.

— Czy serce mojej siostry jest jeszcze jej wyłączną własnością?

Po tym pytaniu, na które tak szybko nie zdobyłby się żaden biały, rumieniec oblał ciemne policzki Indianki. Mimo to odpowiedziała pewnym głosem:

— Nie.

Twarz Indianina nawet nie drgnęła. Zapytał tylko:

— Czy to człowiek z plemienia mojej siostry?

— Nie, to biały.

— Niedźwiedzie Serce zaklina swoją siostrę, żeby zwróciła się do niego, gdyby biały człowiek ją oszukiwał.

— Nie będzie mnie nigdy oszukiwać — odpowiedziała z dumą.

Indianin uśmiechnął się nieznacznie.

— Kolor biały jest fałszywy i brudzi się prędko. Niechaj moja siostra będzie ostrożna.

Jechali ciągle na południe. Zanim nastał zmierzch, zarządzono postój, bo zarówno ludzie, jak i konie padali ze znużenia. Po półgodzinnej przerwie ruszono w dalszą drogę.

Unger dziwił się, że jego towarzyszka tak dzielnie wytrzymuje trudy podróży. Emma powiedziała na to z uśmiechem:

— Żyję w tym kraju od dzieciństwa, przywykłam do niewygód.

— Czy nigdy nie tęskni pani za cywilizacją, za kulturalnym środowiskiem?

— Nigdy. Mam w domu wszystko, czego mi potrzeba, może nawet więcej. A obcowanie z dziećmi natury daje mi większą satysfakcję niż prowadzenie pustych rozmów salonowych. Czy nie mam racji?

— Podzielam pani zdanie. I ja znalazłem wśród tak zwanych dzikich znacznie więcej przywiązania i serca, aniżeli wśród ludzi cywilizowanych. Niech pani tylko spojrzy na mego czerwonoskórego przyjaciela. Nie oddałbym go za stu białych, mają wpawdzie jasną skórę, ale

serca ciemne.

— A pan? Czyż i panu nie można ufać bezgranicznie?

— Tak pani uważa?

— Ależ tak! Ręczę, że i pan ma jakiś szlachetny przydomek, nadany przez Indian lub traperów. Potwierdził skinieniem głowy.

— Jaki to przydomek?

— Niech seniorka nazywa mnie Antonio albo po prostu Unger.

— Więc nie chce pan powiedzieć?

— Nie teraz. Może kiedyś...

— Chce pan zachować incognito niby jakiś ksiązę?

— Tak — odparł z uśmiechem — dobry myśliwy jest przecież także wielkim panem. To ksiązę lasów i prerii.

— Ma pan rację. — Po chwili dodała: — Przypomniało mi się głośnie imię Matava-se.

— To sławny człowiek. Co pani słyszała o nim?

— Podobno był nawet w naszych niedostępnych górach.

— Oczywiście. Dlatego też Indianie nazywają go Ma-tava-se, angielscy westmani i traperzy — Księciem Rocky, Francuzi — Prince du Roc. Każde z tych imion znaczy to samo: Księzę Skał.

— Czy to biały?

— Tak.

— Widział go pan kiedyś?

— Nie, ale słyszałem, że pochodzi z mojej ojczyzny. Nazywa się podobno Karol Sternau i jest lekarzem. Objechał Amerykę w towarzystwie mojego dzielnego Niedźwiedzięgo Serca; całe miesiące wędrował wśród skał. Teraz jest już w Europie.

— Czy i pan wróci do ojczyzny?

Po tych słowach zapanowało krótkie milczenie. Oboje pomyśleli równocześnie o rozłące. Wreszcie Unger odezwał się:

— Czy nigdy nie przychodziła pani ochota zobaczyć świat, pojechać do Europy?

— Nigdy! Moja hacjenda jest moją ojczyzną. Nie chcę jej opuszczać.

— Czy nie obawia się seniorita, że kiedyś czerwoni mogliby napaść na pani dom?

— Ależ hacjenda to istna warownia!

— Znam ten rodzaj folwarków. Zbudowane są zwykle z kamienia i otoczone murem. To jednak za słaba obrona przed nieprzyjacielem.

— Będziemy czuwać, a pan z nami. Chcę wierzyć, że będzie senior naszym gościem!

— To zależy od Niedźwiedzięgo Serca. Nie mogę się z nim rozstać.

— Zgodzi się.

— To człowiek, który nade wszystko kocha wolność. Wśród murów długo nie wytrzyma.

— Mam jednak wrażenie, że tym razem...

— Z czego pani to wnosi?

— Ze spojrzeń, którymi obrzuca Karię.

— I ja to zauważyłem. Ale przecież Indianka kocha hrabiego.

— I dlatego żal mi Niedźwiedzięgo Serca.

— Niech go pani nie żałuje. To człowiek ze stali. Nie potrafiłby błagać o miłość.

— A pan, czy także ze stali?

— Może... też.

— I nie rozpaczałby senior?

— Nigdy!

— Czy to nie zbytnia pewność siebie?

— Cóż robić, tak czuję. Kobieta, którą pokocham, będzie musiała uszanować moje uczucia.

Jestem westmanem i nigdy nie niżę się do błagania.

Wkrótce zapadła noc. Mimo to podróż trwała jeszcze dwie godziny, zanim dotarli do jakiejś rzeczulki, gdzie urządzono postój. Unger przygotował dla Emmy posłanie z gałęzi i liści. Niedźwiedzie Serce zajął się Karią. Było to jak na Indianina czymś niezwykłym; czerwoni tylko w wyjątkowych przypadkach wykonują czynności, które należą do kobiet.

Ułożono się do snu. Co trzy kwadranse następowała zmiana warty. Niedźwiedzie Serce i Unger mieli dwie ostatnie, gdyż świt jest porą najniebezpieczniejszą i czerwonoskórzy chętnie wtedy napadają.

Noc przeszła spokojnie. Rankiem ruszyli w dalszą drogę. Po południu dotarli do celu.

HACJENDA DEL ERINA

Hacjenda to niby zwykły folwark, ale meksykańskie hacjendy to coś w rodzaju zamków warownych z czasów średniowiecza. Taka była del Erina. Olbrzymi budynek zbudowano z kamieni, otoczono murem. Wnętrze uderzało przepychem i ogromem, mogło pomieścić setki ludzi. Obok zabudowań rozciągał się olbrzymi park, w którym rosły wielobarwne, cudownie pachnące rośliny tropikalne. Po drugiej stronie był dziewiczy las, dalej pola, pastwiska, na których pasły się wielotysięczne stada.

Gdy nasza kawalkada przejeżdżała przez pastwiska, powitali ją vaquerowie głośnymi okrzykami. Radość jednak wkrótce przeszła w smutek i gniew, gdy się dowiedzieli, że tyłu ich towarzyszy zginęło z ręki wroga. Przysięgali zemstę i chcieli natychmiast wyruszyć, aby ich pomścić.

Na ganku stał sędziwy Pedro Arbellez, zawiadomiony przez majordoma o przybyciu gości. Stary ojciec rozplakał się, zsadzając córkę z konia.

— Witaj, moje dziecko! Musiałaś dużo wycierpieć w tej podróży, wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Dziewczyna objęła go, ucałowała mocno i powiedziała:

— Ojczy, byłam w wielkim niebezpieczeństwie.

— W jakim? — zatrwożył się.

— Komańcze wzięli mnie do niewoli.

— Matko Boska! Czy znowu pokazali się nad Rio Grande?

— Nie. Napadli na nas nad Rio Pecos, dokąd pojechaliśmy na wycieczkę. Ci dwaj panowie uratowali nam życie.

Po tych słowach Emma, ująwszy Ungera i Indianina za ręce, poprowadziła ich do ojca.

— Oto senior Antonio Unger, Europejczyk. A to wódz Apaczów Shosh-in-lit. Gdyby nie ich pomoc, byłybyśmy zmuszone zostać żonami Komanczów, a wszystkich naszych towarzyszy spotkałaby niechybna śmierć.

— Szczęście w nieszczęściu! — wymamrotał don Pedro, ocierając pot z czoła. — Witajcie, moi panowie, witajcie z całego serca! Bądźcie gośćmi tego domu. Weszli do wnętrza, oddawszy konie służbie folwarcznej. Gospodarz zaprowadził ich do salonu, gdzie Emma szczegółowo opowiedziała całą przygodę.

— Na rany Chrystusa, coście musiały przeżyć! — biadał don Pedro. — Bóg zesłał wam wybawców. Jemu i im niechaj będą dzięki. Co powiedzą na to hrabia i Tecalto?

— Tecalto? — zapytała Indianka. — Czy Bawole Czoło jest tutaj?

— Tak, przybył wczoraj.

— A hrabia Alfonso?

— Bawi od tygodnia. Ale oto i on.

Z przyległej jadalni wyszedł hrabia. Miał na sobie czerwony szlafrok z jedwabiu, suto przetykany złotem, białe spodnie z najdelikatniejszego francuskiego płótna, niebieskie aksamitne pantofle. Głowę zdobił mu fez turecki. Naperfumował się czymś o niezmiernie mocnym zapachu.

Stół nakryty wytwornie i bogato, widoczny poprzez uchylone do jadalni skrzydło drzwi, oraz serwetka, którą hrabia trzymał jeszcze przy ustach, pozwalały przypuszczać, że kończył właśnie posiłek.

— Ktoś wymówił tu moje imię. Ach, to nasze piękne panie!

Na widok hrabiego rumieniec pokrył twarz Indianki, co nie uszło uwagi Niedźwiedziego Serca. Emma odpowiedziała grzecznie, ale chłodno:

— Jak hrabia widzi. Mało brakowało, abyśmy wcale nie wrócili. Wzięto nas do niewoli. Komańcze...

— Do diabła! — krzyknął Alfonso! — Muszę poskromić tych przeklętych czerwonych!

— Nie będzie to takie łatwe — w głosie Emmy można było wyczuć ironię. — Zresztą jesteśmy wolne. A oto nasi wybawcy.

Hrabia, obrzuciwszy gości niemile zdumionym spojrzeniem, zapytał:

— Cóż to za ludzie?

— Senior Unger, Europejczyk, i Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.

— Doskonałe połączenie. Przypuszczam, że panowie ci zaraz udadzą się w powrotną drogę?

— Są moimi gośćmi i zostaną tutaj, jak długo zechcą — odparł don Pedro.

— Co pan mówi, senior Arbellez?! — wykrzyknął hrabia. — Proszę przypatrzeć się tym ludziom. Wykluczone, abym został z nimi pod jednym dachem! Cuchną lasem i mułem. Musiałbym natychmiast wyjechać!

Hacjendero wstał, oczy zabłyśły mu gniewem.

— Nie będę hrabiego, zatrzymywał — rzekł. — Ci panowie uratowali mi córkę i jej przyjaciółkę, dlatego są moimi najmiłszymi gośćmi.

— A więc tak? — Nie inaczej!

— Więc nie jestem tu panem?

— Nic mi o tym nie wiadomo!

— Nie?! — zasyczał Alfonso. — Któż więc jest tu panem?

— Hrabia Fernando. A senior jesteś tylko gościem. Zresztą nawet hrabia Fernando nie miałby głosu w tej sprawie. Jestem dożywotnim dzierżawcą folwarku. Któż zabroni przyjmować mi u siebie kogo zechcę?

— Do licha, co za bezczelność!

— Nieprawda. To hrabia był niegrzeczny i bezwzględny wobec moich gości. Jeżeli hrabiemu nie podoba się zapach lasów i moczarów, którego zresztą wcale nie czuję, to zapewne tym panom z kolei nie podoba się zapach perfum hrabiego, który, niestety, czuje się nazbyt wyraźnie. Poproszę teraz moich gości do jadalni. Pan, hrabio, może iść z nami albo nie, wolna wola!

Po tych słowach don Pedro otworzył drzwi do jadalni na oścież i nisko ukłoniwszy się zapraszał gości do środka.

Indianin stał przez cały czas bez ruchu, jakby wykuty z kamienia, nie spojrzawszy nawet na hrabiego. Sprawiał wrażenie, że nie rozumie rozmowy. Wszedł do jadalni wyniosły i milczący. Unger natomiast zwrócił się do Alfonsa:

— Czy pan jest hrabią Alfonsem de Rodriganda?

— Tak jest — potwierdził zapytany.

— Senior Arbellez zapomniał seniora nam przedstawić. Wyzywam pana! Proszę wybierać: szpady, pistolety czy strzelby?

— Mam się bić? — zapytał hrabia z najwyższym zdumieniem.

— Oczywiście! Gdybym został obrażony przed wejściem do tego domu, zabiłbym pana jak psa. Ponieważ stało się to tutaj, muszę mieć wzgląd na panie i na gospodarza. Proszę wybrać rodzaj broni!

— Mam się bić? — powtórzył hrabia z niedowierzaniem. — Z panem? Na Boga, kimże, człowieku, jesteś? Zwykłym myśliwym, włóczęgą!

— Więc nie chce senior? W takim razie powiem panu, że jesteś łajdakiem, tchórzem godnym pogardy!

Unger wszedł do jadalni. Na progu został osłupiały Alfonso. Po chwili rzekł do Arbelleza:

— I pan to toleruje?

— Ha, jeżeli hrabia znieść może... No chodźże, Emmo, chodź, Kario! Nasze miejsce tam, przy ludziach honoru!

— Co za nikczemność! Zapamiętam to sobie, Arbellez!

— Doskonale!

Starzec wszedł do sali jadalnej wraz z obydwoma paniami. Emma przechodząc obok Alfonsa obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Podły! — szepnęła.

Indianka podążyła za nią ze spuszczoneymi oczami. Hrabia pozostał sam. Rzucił serwetkę na podłogę i tupiąc nogami zaklął:

— Zapłacę wam za to, zobaczycie!

Oczy jego błyszczały niewypowiedzianym gniewem, a niskie czoło pokryły głębokie bruzdy.

Hrabia Alfonso nie był brzydki czy odpychający. Przeciwnie, miał nawet ładne rysy twarzy, ale teraz w tej wściekłości budził wstręt.

Reszta towarzystwa zasiadła tymczasem do stołu. Posiłek składał się z wielkich ćwiartek melona, na pół otwartych granatów, pomarańcz, słodkich cytryn oraz tych wszystkich potraw mięsnych i legumin, w które obfituje kuchnia meksykańska.

Gdy spożyto poczęstunek, gospodarz odprowadził gości do przeznaczzonego dla nich pokoju. Obaj przyjaciele mieli mieszkać razem.

Unger nie mógł wytrzymać w pomieszczeniu, wyszedł więc do ogrodu, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Z ogrodu skierował kroki ku prerii.

Nagle stanęła przed nim dziwna postać. Był to człowiek bardzo wysoki, rostry, cały spowity w garbowaną skórę bawolą. Na głowie miał coś w rodzaju łba niedźwiedzia, z którego pasma futra zwisały niemal do ziemi. Z szerokiego skórzanego pasa wystawały rękojeści noży, a od prawego ramienia do lewego biodra był pięciokrotnie owinięty lassem. Obok, przy płocie, stała jedna z tych starych, żelaznych rusznic, używanych przed stu laty w Kentucky, a tak ciężkich, że trudno je udźwignąć..

— Kim jesteś? — zapytał Unger.

— Bawole Czoło — brzmiała odpowiedź.

— Tecalto? Mokashi-tayiss, sławny cibolero?

— Tak jest. Znasz mnie?

— Nie widziałem cię nigdy, lecz słyszałem o tobie.

— Jak się nazywasz?

— Unger. Jestem Europejczykiem.

Ponura twarz Indianina rozpogodziła się. Tecalto wyglądał na dwadzieścia pięć lat, był pięknym mężczyzną.

— Więc to ty uratowałeś moją siostrę Karię?

— Los mi sprzyjał.

— Nie, to nie los, nie przypadek. To twoja dzielność! Bawole Czoło jest ci dozgonnie wdzięczny. Tyś waleczny jak Matava-se, Książę Skał, który również jest Europejczykiem.

— Znasz Europejczyków?

— Tak. Są mocni i odważni, mówią prawdę i umieją dochować wierności. Jak ten, którego Indianie nazywają Itinti-ka, Piorunowy Grot, bo jest szybki jak strzała, a silny i mocny jak grom. Nigdy nie chybi, gdy strzela, oko ma nieomyślne.

— Nie widziałeś go nigdy?

— Słyszałem o nim wiele, nie widziałem go jednak do dnia dzisiejszego.

— Co takiego? — zapytał zaskoczony Unger..

— Tak, do dnia dzisiejszego. Bo oto teraz stoi przede mną!

— O mnie mówisz? Po czym mnie poznałeś?

— Popatrz na swój policzek. Piorunowy Grot ma na policzku cięcie od noża. O tym wie każdy, kto o nim słyszał. Czy zgadłem?

Unger skinął głową.

— Tak, nazywają mnie Itinti-ka.

— Niechaj będą dzięki Wielkiemu Wakondzie, że mi pozwolił mówić z tobą. Jesteś dzielnym człowiekiem, daj mi swoją rękę i bądź mi bratem.

Unger uściskawszy wyciągniętą dłoń, rzekł:

— Niech przyjaźń nasza będzie wieczna! Indianin dodał:

— Niechaj moja ręka będzie twoją ręką, moja noga twoją nogą. Biada twojemu wrogowi, bo jest także moim, biada mojemu, bo jest i twoim wrogiem. Ja to ty, ty to ja, jesteście jedno!

Bawole Czoło nie był Indianinem z Północy. Był wylewny i rozmowny, ale nie mniej groźny od tych milczących czerwonoskórych, którzy uważają za hańbiące wypowiadać słowami, co czują.

— Czy mieszkasz w hacjendzie?

— Nie — odpowiedział Tecalto. — Nie mogę żyć i spać w miejscu otoczonym murami. Mieszkam tutaj.

Przy tych słowach wskazał na łąkę, na której stali.

— Masz najlepsze łoże w całej hacjendzie. Mnie również męczą mury.

— I przyjaciel twój, Niedźwiedzie Serce, wyszedł na prerię. Mówiłem już z nim, dziękowałem mu. Jesteśmy braćmi, jak ja i ty.

— Gdzie on jest?

— Siedzi wśród vaquerów.

— Chodźmy do niego.

Indianin chwycił ciężką strzelbę, zawiesił ją na ramieniu i poprowadził Europejczyka.

Daleko, pośród pasących się półdzikich koni, obozowali vaquerowre. Opowiadali o przygodach swej młodej pani. Niedźwiedzie Serce siedział w milczeniu, choć całe wydarzenie znał przecież najlepiej. Unger wmieszał się do rozmowy i po jakimś czasie wszyscy gawędzili jak starzy znajomi.

Nagle rozległo się głośnie rżenie i parskanie.

— Co to? — zapytał Unger.

— To kary ogier — odpowiedział jeden z pastuchów. — Niech zdechnie z głodu, jeżeli nie chce słuchać!

— Dlaczego?

— Nie można go ujarzmić.

— Co takiego?

— No tak, nie można go ujarzmić! To istny diabeł, jesteśmy wobec niego bezradni. Wszyscyśmy tu świetni jeźdźcy, ale pozrzucał nas z wyjątkiem jednego.

— Któż jest tym jedynym?

— Bawole Czoło, wódz Miksteków. Jego jednego nie zrzucił, ale i on nie potrafił go ujeździć.

— To przecież nieprawdopodobne. Kto utrzyma się na grzbiecie, ten zostaje zwycięzcą.

— I myśmy tak sądzili. Ale ten czort rzucił się z jeźdźcem dowody, by go utopić, a gdy to nie pomogło, poniósł w największy gąszcz leśny i tam zmusił do zeskoczenia z siodła.

— Do licha! — zawołał Unger.

— To prawda — potwierdził Tecalto. — Przykra, zawstydzająca prawda. A przecież poskromiłem już niejednego konia!

Pastuch opowiadał dalej:

— Wielu już jeźdźców i strzelców próbowało swych sił i zręczności na tym czarnym diable, ale wszyscy na próżno. Powiadają, że może tylko jeden zdołałby go poskromić.

— Kto taki?

— To obcy traper z Red River, który nie lęka się samego czarta!

— Jak się nazywa?

— Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska, ale czerwoni nazywają go Itinti-ka. Opowiadają o nim wiele.

Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło nie zdradzili ani jednym ruchem, że chodzi tu o Ungera, on zaś z najniewinniejszą miną zapytał:

— Gdzie jest ten czarny diabeł?

— Za wzgórzem. Leży skrępowany.

— To źle!

— Senior Arbellez dba bardzo o swoje zwierzęta, ale tym razem przysiągł, że koń zginie z głodu, jeżeli nie będzie posłuszny.

— Czyście mu zawiązali pysk?

— Tak.

— Pokażcie mi go.

— Dobrze, senior, chodźmy!

Gdy się podnosili z ziemi, ujrzeli Arbelleza, który przecwałował nie opodal z córką i Karią. Była to zwykła inspekcyjna przejażdżka, jaką stary odbywał co wieczór przed spoczynkiem.

Vaquerowie doszli wraz z Ungerem do konia. Zwierzę leżało skrępowane grubymi powrozami, ze związanym pyskiem. Oczy miało nabiegłe krwią. Każda żyła była nabrzmiała, z pyska sączyła się piana.

— Ależ to grzech tak dręczyć konia! — zawołał Unger.

— Trudno. Co robić? — odpowiedział vaquero flegmatycznie.

— Po prostu maltretujecie zwierzę! Tak nie wolno! W ten sposób można zmarnować najbardziej rasowego konia!

W tym momencie stanął przed Ungerem don Pedro wraz z dziewczętami.

— Skąd to uniesienie? — zapytał.

— Zał mi konia, którego zamęczacie!

— Niech zginie, jeśli nie chce być posłuszny.

— Nauczy się słuchać, ale nie w ten sposób.

— Wyczerpałem już wszystkie środki.

— Dajcie mu dobrego jeźdźca. — Nie skutkuje!

— Czy mogę spróbować?

— Nie!

— Dlaczegoż to?

— Dlatego, że zbyt mi drogie pańskie życie.

— Bez obaw! Nie mogę na to patrzeć! Więc zgadza się pan, bym dosiadł tego konia?

Emma zwróciła się do ojca:

— Ojczy, nie pozwól seniorowi. Koń jest niebezpieczny! Unger obrzucił ją ciepłym spojrzeniem.

Cieszył go ten lęk o niego. Powiedział jednak poważnie:

— Niechże mnie pani nie obraża, seniorito. Zapewniam panią, że się nie boję tego czarnego diabła.

— Przecież senior nie zna go jeszcze — rzekł Arbellez. — Powiadają tu ludzie, że może tylko Itinti-ka dałby mu radę.

— Czy zna pan tego Itinti-kę?

— Nie, ale jest to podobno jeden z najlepszych jeźdźców!

— Senior, obstaję przy swojej prośbie.

— Cóż robić, muszę się zgodzić, bo jest pan moim gościem. Żal mi pana tylko.

Emma zeskoczyła z konia, podeszła do Ungera i wyciągając do niego rękę rzekła:

— Senior Unger, czy dla mnie nie zrezygnowałby pan ze swego szalonego zamiaru? Tak się obawiam o pana!

— Niech mi pani powie szczerze, czy nie byłoby to dla mnie hańbą teraz ustąpić? Sądzone by, że się przestraszyłem.

Pochyliła głowę, wiedziała bowiem, że Unger ma rację. Zapytała tylko cichutko:

— Odważy się pan?

— Nie trzeba na to specjalnej odwagi.

— A więc powodzenia!

Unger podszedł do ogiera, odsunawszy pastuchów, którzy chcieli mu pomóc w zdejmowaniu więzów. Zwierzę leżało jeszcze ciągle na ziemi parszając. Unger ściągnął mu kaganiec z pyska i nożem przeciął więzy krępujące nogi — najpierw z tylnych, później z przednich. Kiedy rumak wstał, szybko wskoczył mu na grzbiet.

Rozpoczęła się walka między jeźdźcem a koniem, jakiej nikt z obecnych dotąd jeszcze nie widział. Ogier stanął dęba, skoczył w bok, paraskał i wierzgał na wszystkie strony, rzucił się w końcu na ziemię, tarzał po niej przez chwilę i znowu podniósł się na równe nogi. Jeździec siedział cały czas jak przykuty. Były to z początku zapasy zręczności człowieka z niesamowitym dzikim zwierzęciem, które później zmieniły się w walkę mięśni ludzkich z siłą bestii. Koń oblany był potem; nie paraskał już, tylko prychał; borykał się ze swym pogromcą, ale żelazny jeździec nie ustępował. Trzymał karosza w uścisku swych stalowych nóg, tak że koń nie mógł wprost odetchnąć. Jeszcze wspiął się, stanął dęba, wreszcie ruszył galopem przez kamienie, rowy i krzaki. Po kilkudziesięciu sekundach jeździec wraz z koniem zniknęli z oczu zdumionych widzów.

— Do kroćset, czegoś podobnego w życiu nie widziałem! — rzekł Arbellez.

— Z pewnością złamię kark — wtrącił któryś z vaque-rów.

— Co też mówisz! Już zwyciężył!

— A tak się bałam — wyznała Emma. — Ale teraz wierzę, że niebezpieczeństwo minęło.

Prawda, ojcze?

— Możesz być zupełnie spokojna. Kto tak siedzi w siodle i taką ma siłę, ten już nie da się zrzucić! Miałem wrażenie, że to diabeł walczy przeciw diabłu. Sam Itintika nie pojechałby lepiej.

Wtedy zbliżył się Bawole Czoło i powiedział:

— Tak jest, sam Itinti-ka nie pojechałby lepiej, choćby dlatego, że właśnie nim jest Unger!

— Co takiego? Więc to on jest Piorunowym Grotem?

— Tak. Zapytajcie wodza Apaczów.

Arbellez obrzucił Indianina pytającym spojrzeniem.

— To prawda — potwierdził Apacz.

— No, gdybym o tym wiedział, nie bałbym się tak o niego — rzekł don Pedro. — Miałem

wrażenie, że ja sam dosiadam tej bestii.

W oczach Emmy zapłonęły ogniki szczęścia.

Wszyscy czekali w skupieniu. Po upływie jakiegoś kwadransa Unger wrócił. Koń szedł potulnie, jeździec siedział w siodle jak gdyby nic się nie stało.

Emma podeszła do nich.

— Dziękuję, senior!

Inny zdziwiłby się może i spytał za co, on jednak zrozumiał i uśmiechnął się tylko.

— No, senior Arbellez — zwrócił się do starca — czy istotnie nie można było sobie poradzić bez Itinti-ki?

— Oczywiście, że nie można było! Przecież pan nim jest.

— A więc wydała się tajemnica! — rzekł Unger wesoło.

— I skończyło się incognito Księcia Sawanny! — dodała Emma.

Otaczający ich wydawali okrzyki uznania, a le on poprosił o ciszę i powiedział:

— Czy mogę jechać razem z panem, don Pedro?

— A koń nie zanadto wyczerpany?

— Nie.

— A więc dobrze.

Jechali przez pastwiska, na których pasły się setki koni, wołów; owiec i kóz. Kiedy przybyli przed dom, Unger i uwiązał swego poskromionego konia przy płocie.

Indianka Karia idąc do siebie, mijała drzwi pokoju hrabiego, gdy te nagle otworzyły się i stanął w nich Alfonso.

— Karia, czy będę mógł dziś pomówić z tobą?

— Kiedy? — zapytała.

— Dwie godziny przed północą.

— Gdzie?

— Na dole, przy drzewach oliwnych, nad strumieniem.

— Dobrze, przyjdę!

O dziesiątej hrabia zjawił się w oznaczonym miejscu. Po chwili nadeszła Karia. Była bardziej milcząca niż zazwyczaj.

— Co się stało, Karia? Czy mnie już nie kochasz?

— Ależ kocham cię, choć właściwie nie powinnam! Czy nie cieszysz się wcale, że zostałam uratowana? — Ach, cóż znowu?

— Dlaczego w takim razie obraziłeś moich wybawców?

— Miejsce ich na pastwiskach, na preriach, nie tutaj! Indianka odezwała się na to z wymówką i żalem w głosie:

— Nie jesteś szlachetny, don Alfonso.

— Nienawidzę tylko wszystkiego, co wstrętne!

— Czy Piorunowy Grot jest wstrętny?

— Piorunowy Grot? Ten wspaniały jeździec i myśliwy? Przecież nie widziałem go nigdy w życiu.

— Ależ owszem! Piorunowy Grot to Unger.

— Do diabła! Teraz rozumiem jego wyzwanie.

— Czy będziesz się z nim bił?

— Ani mi się śni! To przeciwnik niegodny mnie. Indianka w obawie o życie hrabiego rzekła:

— Może postępujesz słusznie. Byłbyś zgubiony.

Nie jest przyjemnie usłyszeć z ust ukochanej, że innego uważa za dzielniejszego. Hrabia odpowiedział więc:

— Jesteś w błędzie. Czy widziałaś, jak strzelam, jak się fechtuję?

— Nie.

— W takim razie nie wolno ci oceniać. Rycerz czy hrabia musi być w tym lepszy od zwykłego westmana! Poznasz mnie dopiero wtedy, gdy zostaniesz moją żoną.

— Boję się, że to nigdy nie nastąpi. A tak chciałabym ci wierzyć. Kocham cię!

— Nie bój się, kochana. Wszystko zależy tylko od ciebie. Pamiętasz o warunku, który ci postawiłem?

— Twardy i nieubłagany. Żądasz, abym złamała przysięgę, abym zdradziła swój naród.

— Przysięga nie powinna cię wiązać, przecież dałaś ją jako dziecko. Naród twój nie jest już narodem. Jeżeli mnie kochasz, jeżeli chcesz zostać moją żoną, mój naród powinien stać się twoim. Przyjechałem, by się przekonać o twojej miłości. Jeżeli tym razem nie zdecydujesz się, powrócę do Hiszpanii i nigdy się już nie zobaczymy.

— Jesteś okrutny!

— Nie, jestem tylko ostrożny. Serce bowiem, które nie umie zdobyć się na ofiarę, nie zna prawdziwej miłości! Karia rzuciła mu się na szyję.

— Kocham cię ponad życie, wierz mi!

— Daj mi dowód! Potrzebujemy skarbów z groty królewskiej, aby dać ojczyźnie nowego władcę. Pierwszym jego czynem będzie podniesienie ciebie do stanu szlacheckiego, byś mogła zostać hrabiną de Rodriganda.

— Wierzę ci. Nigdy nie powiesz memu bratu, że to ja zdradziłam tajemnicę skarbu?

— Nigdy! Nie dowie się nawet, kto wziął skarb. Alfonso czuł, że Indianka zaczyna ulegać. Przepelniała go radość. Udając miłość, aby wydrzeć tajemnicę, byłby przyrzekł **Karii** wszystko, byle zmusić ją do mówienia.

— Dobrze więc. Dowiesz się, gdzie jest królewski skarb, ale pod warunkiem, że zdradzę ci to dopiero w dniu naszych zaręczyn.

— To niemożliwe — z trudem ukrywał niezadowolenie. — Szlachectwo możesz otrzymać po ujawnieniu skarbu, wcześniej według ustaw naszego kraju nie mogą nastąpić nasze zaręczyny.

— Dlaczego?

Objął ją ramieniem i ucałował.

— Jesteś wprawdzie córką księżącą, ale według praw hiszpańskich nie wystarczy to do szlachectwa. Sercu memu jesteś droga i godna herbu, ale świat inaczej na to patrzy. Więc mi nie chcesz zaufać, najdroższa?

— Dobrze, dowiesz się o wszystkim! Ale na jeden mój warunek musisz się zgodzić. Daj mi pismo, w którym przyrzekniesz, że po wyjawieniu tajemnicy skarbu pojdziesz mnie za żonę.

Warunek ten był hrabiemu bardzo nie na rękę, ale czy warto teraz, gdy cel tak bliski, odmawiać takiej drobnostki? Dlatego odrzekł szybko:

— Ależ oczywiście, moja droga. Więc powiedz, gdzie są skarby?

— Najpierw pismo, Alfonso!

— Dobrze! Przygotuję je na jutro, na południe.

— I zaopatrzysz swoją pieczęcią?

— Tak.

— W takim razie wieczorem powiem ci, w którym miejscu skarb jest ukryty.

— Dlaczego dopiero wieczorem?

— Muszę uważać, aby Emma lub któryś ze służących nie domyślili się czegoś.

— Więc przyjdiesz do mnie?

— Ja do ciebie? — zapytała z wahaniem.

— Czy się lękasz?

— Nie! Przyjdę.

Jeszcze raz ucałował dziewczynę, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Był wprawdzie, jak to się mówi, wielkiego serca, ale nie pociągały go Indianki.

Podczas gdy Alfonso rozmawiał z Karią w gaju oliwnym, Unger odprowadzał wodza Tecalta w kierunku prerii. Pożegnawszy się z nim, nie miał jeszcze ochoty wracać do domu. Spragniony ciszy, wszedł do ogrodu i usiadł u stóp fontanny, przyglądając się migotliwej wodzie.

Po chwili usłyszał kroki. Przed fontanną stanęła kobieca postać. Poznał Emmę.

— Jeżeli przeszkadzam, zaraz odejdę — powiedział.

— Myślałam, że pan już śpi — odparła.

— W pokoju jest mi za ciasno, za duszno. Trzeba się długo przyzwyczajać, by zasnąć w zamkniętym pomieszczeniu.

— I ja odczuwam to samo, dlatego też przyszedłam tutaj.

— Niech więc pani do woli rozkoszuje się wonią ogrodu. Dobranoc, seniorita!

Chciał odejść, ale ujęła go za rękę i zatrzymała:

— Niechże pan zostanie. Bóg dał nam dosyć powietrza, zapachów i gwiazd, abyśmy oboje mogli z nich korzystać. Nie przeszkadza mi pan.

Usłuchał i usiadł obok.

Wódz Miksteków, Bawole Czoło, leżał przy ogrodowym parkanie. Patrzył w gwiazdy, myślał o wiecznych światach, w których krążą setki słońc, czczonych niegdyś przez jego królewskich przodków. Zatopiony w marzeniach, miał jednak ucho wyczulone na każdy szmer. Po chwili usłyszał w ogrodzie ciche kroki, rozmowę prowadzoną przytłumionym głosem. Wiedział, że Rodriganda widuje się z Karią, wiedział, że Hiszpan nie jest jej obojętny. Obudziła się w nim niechęć do hrabiego. Od godziny nie ma w domu ani Karii, ani Rodrigandy. Czyżby mieli schadzkę w ogrodzie? Musi to sprawdzić dla dobra jej i swego!

Podniósł się bezszelestnie i ze zwinnością pantery przesadził płot. W ogrodzie położył się na ziemi i czołgał tak cicho, że nawet Unger nic nie słyszał. W końcu dotarł w okolicę fontanny, tak że mógł rozumieć każde słowo.

— Powinnam właściwie gniewać się na pana — mówiła Emma. — Tak się niepokoiłam z pańskiego powodu!

— Zupełnie niepotrzebnie. Nie takie konie zdarzało mi się ujarzmić. Zresztą czarny diabeł uspokoił się całkowicie, może go dosiąść nawet kobieta.

— Jeden plus miała ta walka, wyjawiała pańskie incognito.

— Właśnie dlatego, że często uważano mnie za zwykłego, przeciętnego myśliwego, nieraz udawało mi się osiągnąć wielkie korzyści.

— Ale mnie chyba mógł senior zdradzić, kim jest. Znam przecież o wiele większą pańską tajemnicę.

— Ach, być może nigdy nie poznam tajemnicy królewskiego skarbu, jakkolwiek mam wrażenie, że jestem bardzo blisko niego.

— Z czego pan to wnosi?

— Z rysunku gór, z biegu wód. Okolica, przez którą jechaliśmy bezpośrednio przed przybyciem tutaj, zgadza się z fragmentem mojej mapy.

— A więc ma pan punkt oparcia. Można szukać!

— Waham się. Mam wątpliwości, czy przysługuje mi prawo.

— Ależ co znowu! Nie przeceniam wartości złota, lecz posiadanie jego daje podobno coś, za czym tysiące tęsknią nadaremnie. Trzeba szukać, koniecznie.

— Tak, moc złota jest jednak olbrzymia... W ojczyźnie mam niezamożnego brata, uszczęśliwiłbym go nim. Ale kto ma prawo do skarbu? Chyba tylko potomkowie tych, którzy go ukryli.

— Nie wie pan, od kogo pochodzi mapa?

— Od pewnego Indianina, jak już pani mówiłem. Był ranny, umarł, zanim zdążył objaśnić mi cokolwiek.

— Nie ma na mapie żadnej nazwy, jakiegoś znaku rozpoznawczego?

— Nie. W jednym rogu znajduje się znak, którego nie rozumiem. Tak, będę szukał. Ale jeżeli znajdę skarb, postaram się go oddać tym, do których należy według prawa. Jeśli ich nie znajdę, wtedy zobaczymy.

— Jest pan człowiekiem honoru.

— Nienawidzę wszystkiego, co nieuczciwe.

— A więc pański brat jest biedny?

— Tak. Żegluje po morzach, żyje z pracy rąk. A ja mam małą tylko sumkę, którą udało mi się zdobyć w czasie moich licznych przygód.

— Ma pan więcej, o wiele więcej. Piorunowy Grot ma inne skarby...

— Tak, bywają inne. Bywają takie, dla których zdobycia nieustraszony Itinti-ka oddałby wszystko, wszystko!

— Cóż to za skarb?

— Czy można go nazwać? — zapytał cicho. W głosie jego zadrgała nuta niepokoju, która nie uszła uwagi Emmy.

— Słucham — powiedziała.

— To pani, seniorita, tylko pani! — wyszeptał, biorąc ją za rękę. — Czy wierzy mi pani?

— Tak, wierzę — odpowiedziała prosto, serdecznie i szczerze. — I dla mnie uczucia są więcej warte niż wszystkie bogactwa świata! I ja mam taki skarb.

Przeczuwając radosną prawdę, zapytał:

— Jaki to skarb, seniorita?

— Pan nim jest. Ty nim jesteś, Antonio!

Po tych słowach objęła go ramieniem, położyła głowę na jego piersi.

— Czy to prawda? Czy to możliwe?

— Tak. Podziwiałam cię od chwili, gdy przeciąłeś więzy, którymi byłam skrupowana, pokochałam od chwili, gdy spojrzałam w twe dobre oczy. Jestem twoja, ty mój, mocny, dobry, kochany Antonio, chcę żyć tylko dla ciebie!

Unger wyszeptał:

— Boże, wielki Boże! Za wiele szczęścia dla biednego myśliwego!

Usta ich złączyły się w długim pocałunku. Nie słyszeli oczywiście, jak Bawole Czoło doczołgawszy się do płotu przesadził go z powrotem, by udać się na spoczynek.

Unger nie zdążył jeszcze wstać rano z posłania, a już gościnny gospodarz witał go, życząc dobrego dnia.

— Przychodzę, co prawda, z pewną prośbą — rozpoczął don Pedro.

— Spełnię ją, o ile tylko będzie to w mojej mocy.

— Mam nadzieję, że uda się to panu. Podróżując po preriach, nie jest senior w stanie doglądać swego ekwipunku. A ja mam tu wszystkiego w nadmiarze. Czy nie zechciałby więc pan kupić u mnie nieco bielizny i odzieży?

Unger zrozumiał natychmiast, o co chodzi hacjendero-yvi. Jego wytarte ubranie myśliwskie istotnie było w opłakanym stanie. Oceniając delikatność gospodarza, odpowiedział po krótkim namyśle:

— Owszem, przyjmuję pańską propozycję, ale ceny nie mogą być wygórowane, bom, szczerze mówiąc, goły jak święty turecki.

— Jakoś się dogadamy. W każdym razie nie musi senior płacić od razu, mogę poczekać. Chodźmy, wybierze pan coś sobie.

Gdy w godzinę potem Unger stanął przed lustrem, wydało mu się, że widzi obcego człowieka. Miał na sobie meksykańskie spodnie obszyte złotem, lekkie półbuty z olbrzymimi ostrogami, śnieżnobiałą koszulę, krótką kurtkę przybraną złotem i srebrnymi monetami. Głowę zdobiło sombrero o szerokich kresach, biodra przewiązywał szal z najdelikatniejszego chińskiego materiału. Włosy przystrzygł, brodę starannie podgolił.

Kiedy przyszedł na śniadanie, w jadalni zastał już Emmę. Zarumieniła się na jego widok. Karia dopiero teraz zwróciła uwagę, jak wspaniałym mężczyzną jest Unger. Obaj Indianie — Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce — zachowali się oczywiście tak, jak gdyby żadnej zmiany nie spostrzegli. Hrabia Alfonso natomiast szalał ze złości. Nikt nie chciał z nim rozmawiać, a on musiał słuchać, jak Emma czule gawędziła z Ungerem. Zgrzytał zębami, w duchu przysięgając myśliwemu zemstę.

Po śniadaniu Emma zatrzymała Ungera i ojca. Gdy zostali we troje, objęła don Pedra ramieniem i zwróciła się do niego:

— Zastanawialiśmy się wczoraj, jak się odwdzińczy seniorowi Ungerowi za jego dobrodziejstwa, prawda?

— Tak — odpowiedział — ale, niestety, nic nam nie przychodziło do głowy.

— A ja już wiem!

— Mówże, w jaki sposób!

Zbliżyła się do Ungera i pocałowała go.

— Oto nagroda, chyba godna jego.

Łzy radości zabłyśły w oczach don Pedra.

— A co na to senior Unger?

Nim zapytany zdołał odpowiedzieć, dziewczyna zawołała:

— Ojcze! Jestem szczęśliwa, on mnie kocha! — Wyznał ci to?

— Tak!

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. W ogrodzie. Nie pytaj więcej. Czy ci nie wystarcza, że jestem szczęśliwa?

— I dla mnie to szczęście! Więc naprawdę chce pan zostać synem starego, skromnego dzierżawcy?

— Z całego serca — odrzekł Unger. — Nie wiem tylko, czy zechce mnie senior przyjąć, gdyż jestem biedny jak mysz kościelna.

— Za to ja nie jestem biedakiem, więc jakoś damy sobie radę. Chodźcie tu do mnie, moje dzieci, niechże was uściskam.

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i stanął w nich hrabia. Zaskoczony,

zorientował się jednak szybko w czym rzecz.

— Mam wrażenie, że przeszkadzam! — stwierdził kąśliwie.

— Ależ, broń Boże! Właśnie święcimy zaręczyny Emmy z seniorem Ungerem.

— Życzę wiele szczęścia! — zasyczał gniewnie i wycoArbellez zwołał służbę i oświadczył, że dzień dzisiejszy ogłasza świętem: po południu odbędą się uroczyste zaręczyny jego córki z Ungerem.

Wkrótce cała hacjenda rozbrzmiewała radosnymi okrzykami vaquerów i Indian będących w służbie u Arbelleza, szczerze bowiem byli oddani swym gospodarzom.

Gdy Unger zjawił się na pastwisku, podszedł do niego wódz Miksteków.

— Jesteś dzielnym człowiekiem! Pokonałeś wroga i zdobyłeś najpiękniejszą squaw w tym kraju.

Niech cię Wakonda błogosławi! Tego ci życzy twój brat.

— Tak, to niezwykle szczęście! Chociaż jestem jedynie ubogim myśliwym, i do mnie się ono uśmiechnęło.

— Mylisz się, nie tylko jesteś szczęśliwcem, ale również bogaczem.

— No tak, bogaczem — zaśmiał się Unger. — Mieszkałem w lesie, a gwiazdy były mi okryciem.

— Mylisz się. Jesteś bogaczem, bo masz klucz do tajemnicy królewskiego skarbu.

— Skąd wiesz o tym?

— Wiem. Czy mogę zobaczyć tę mapę?

— Możesz.

— Zaraz?

— Chodź ze mną!

Unger zaprowadził Indianina do swego pokoju. Ledwie Tecalto spojrział na jeden z rogów mapy, powiedział:

— Tak, to ta sama! Ma znak Toksertesa, który był ojcem mego ojca. Musiał opuścić kraj i nigdy już do niego nie wrócił. Czy chcesz zobaczyć grootę, w której ukryty jest królewski skarb?

— Możesz mnie do niej zaprowadzić?

— Tak!

— Do kogo należy skarb?

— Do mnie i do siostry mojej Karii. My jesteśmy jedynymi potomkami królów Miksteków. Bądź gotów dziś o północy. Drogę tę można odbywać tylko nocą. Nikt nie powinien o tym wiedzieć. Tylko tej, której oddałeś swe serce, możesz zwierzyć tajemnicę. Bo ona jedyna wie, że poszukujesz skarbu.

— Lecz skąd ty wiesz o tym?

— Słyszałem całą waszą wczorajszą rozmowę, prowadzoną w ogrodzie. Słyszałem, jak się wahałeś, jak chciałeś zaniechać poszukiwania skarbu. Jesteś uczciwy, a rzadka to cecha u białych.. Dlatego też dane ci będzie zobaczyć królewski skarb.

W godzinę po obiedzie, gdy wszyscy toczyli jeszcze w jadalni towarzyską rozmowę, Karia weszła na palcach do pokoju hrabiego.

— Czy pismo gotowe? — zapytała.

— Umiesz czytać?

— Umiem — odpowiedziała wyniośle.

— To czytaj!

Wręczył jej arkusz papieru, na którym było wypisane:

Niniejszym oświadczam, że po otrzymaniu królewskiego skarbu Miksteków będę się uważał za narzeczonego Karii, wnuczki ich królów, i jako żonę swoją wezmę ją do ojczyznoego kraju.

Alfonso, hrabia de Rodriganda y Sevilla.

- Czy dobrze?
- Słowa podobają mi się, ale brak pieczęci.
- A po co ci ona?
- Przynależę przecież!
- Niechże i tak będzie! Roztopił lak i przyłożył swą pieczęć.
- Jesteś wreszcie zadowolona? Teraz ty dotrzyмай słowa.
- Dotrzymam. Czy znasz górę El Reparo?

— Tak. Leży o cztery godziny stąd w kierunku zachodnim.

— Wygląda jak podłużna, wysoka tama. Płyną z niej do doliny trzy strumienie. Najważniejszy dla ciebie jest środkowy. Jeżeli wejdiesz w wodę tego strumienia i tam, gdzie on z góry wypływa, schylisz się lub padniesz plackiem i poczołgasz naprzód, zobaczysz przed sobą grootę.

— No, to nie będzie takie trudne!

— Bardzo łatwe.

— Czy światło jest potrzebne?

— Pochodnie znajdziesz przy wejściu do groty, po prawej stronie.

— To wszystko, co miałaś mi powiedzieć? — Wszystko!

— Czy ukryto tam cały skarb?

— Cały.

— Dziękuję ci, moja droga! Jesteś moją narzeczoną i wkrótce cię poślubię. Teraz jednak już idź!

Mógłby nas ktoś zobaczyć.

Karia odeszła. Było jej bardzo ciężko na duszy. Nie rozweseliło jej nawet przyjęcie zaręczynowe Emmy. Kiedy wszyscy się radowali, ona z trudnością hamowała łzy. Hrabia pozostał w swoich pokojach, w jadalni się nie pojawił. Ledwo przyjęcie się rozpoczęło, przybył do niego konny posłaniec. Przywiózł mu list z Meksyku. Wuj pisał:

Drogi bratanku!

Otrzymałem od twego ojca list, który nadszedł w osiem dni po twoim odjeździe. Musisz wracać do Hiszpanii, na zamek rodowy Rodrigandów. Zanim jednak przybędziesz, umrze stary Fernando. Przybywaj! Kapitan Landola przyjeżdża do Veracruz.

Twój wuj Pablo Cortejo.

Po przeczytaniu listu hrabia zaczął mówić sam do siebie, wodząc wokoło błędnym wzrokiem:

— Niech się dzieje, co chce, niech to będzie zbrodnia! Ale za jej cenę włożę na czoło koronę hrabiowską! Przywiozę z sobą bogactwa, które zaćmią skarby wszystkich cesarzy i królów.

SKARB MIKSTEKÓW

Uroczystości zaręczynowe przeszły pogodnie, tym bardziej że hrabia nie pokazał się nawet na chwilę. Dwaj lokaje pakowali przez całe popołudnie jego rzeczy. Po kolacji Alfonso zawiadomił Arbelleza, że nocą opuszcza hacjendę. Don Pedro nie zapytał o przyczynę wyjazdu, nie starał się też hrabiego zatrzymać. Wychodząc z domu, Alfonso spotkał Karię wracającą z ogrodu.

— Przed chwilą zawiadomiłem Arbelleza — powiedział obcesowo — że odjeżdżam.

— Dokąd?

— Do stolicy.

— A skarb?

— Służba moja czeka z mułami. Zabiorę go po drodze, jeżeli nie w całości, to przynajmniej częściowo. Potem jedziemy wprost do Meksyku.

— Kiedy wrócisz?

— Nie wiem.

— Czy zabierzesz mnie stąd?

— Tak, kiedy tylko spełnią się plany, o których ci mówiłem.

Indiance wydało się, że w głosie hrabiego brzmi ironia, powiedziała więc zdecydowanym tonem:

— Jeżeli nie wrócisz, odszukam cię w Meksyku!

— O, to sobie wypraszam! Twoje miejsce w hacjendzie. Tu masz na mnie czekać!

— Jak ty do mnie mówisz? Nie uwierzyłabym nigdy, że hrabia de Rodriganda tak może traktować swą przyszłą małżonkę.

— Jeżeli nie będziesz zachowywała się właściwie, nie będę cię mógł wprowadzić do swojej rodziny.

Popatrzyła na niego z przerażeniem i w yjakała:

— Wiem teraz wszystko, oszukałeś mnie! Chciałeś tylko wyłudzić tajemnicę skarbu!

— Rodriganda nie oszukuje nigdy, może tylko wyprowadzić w pole! Skarb należy do mnie i jeżeli nie będziesz posłuszna, nie dotrzymam obietnicy małżeństwa.

— Kłamco, oszuście! — krzyknęła Karia. — Jeszcze mnie popamiętasz!

Hrabia przeląkł się tych słów. W korytarzu słychać było jakieś kroki. Opadła go nagła, nieopisana trwoga i szybko wybiegł z domu. Karia chwiejąc się, weszła do sieni i zemdlona padła w objęcia Arbelleza.

Arbellez zwołał wszystkich domowników. Brakowało tylko Ungera i Bawolego Czoła, lecz nikt w pierwszej chwili nie zauważył ich nieobecności.

Emma klęczała przy zemdlonej. Po chwili Karia otworzyła oczy i podniosła się.

— Kto pójdzie ze mną — zapytała — by schwytać i zabić hrabiego, tego kłamcę i zdrajcę!? Ten łotr chce zrabować skarby królewskie. Pojechał po nie na górę El Reparo!

— O nieba! — zawołała Emma. — Przecież Unger i Tecalto pojechali tam również! Nie powinnam tego mówić, ale muszę...

— To straszne! Hrabia zabije Ungera i mego brata! Don Pedro, trzeba zatrąbić na trwogę. Niech przybędą tu wszyscy vaquerzy i cibolerzy!

Wśród ogólnego zamieszania tylko wódz Apaczów zachował spokój. Jego oczy z upodobaniem spoglądały na Karię, która teraz, w gniewie i podnieceniu, okazała się prawdziwą Indianką. W końcu zapytał:

— Kto wie, gdzie leży grota?

— Ja! — powiedziała Karia. — Zaprowadzę was!

— Czy można tam dotrzeć konno?

— Tak.

Apacz zwrócił się do Arbelleza:

— Zabieram tę dziewczynę i jednego vaquera. Będzie nas troje przeciw trzem wrogom.

— Jadę z wami! — zawołał Arbellez.

— Nie! — odpowiedział Apacz. — A kto będzie strzegł domu? Jeden vaquero wystarczy, reszta zostanie w hacjendzie.

Don Pedro wyszedł, a po chwili zjawił się jeden z vaquerów. Karia wskoczyła na konia, po czym wszyscy troje ruszyli w drogę.

Kilka godzin wcześniej Bawole Czoło wszedł do pokoju Ungera.

— Czyś gotów?

— Tak.

— Więc chodźmy! Unger wziął broń i wyszli.

Przed domem stały trzy konie. Dwa okulbaczone dla jeźdźców, trzeci juczny.

— Po co ten trzeci koń? — zapytał Unger.

— Powiedziałem już, że nie jesteś ubogi. Nie chciałeś zrabować skarbu królewskiego, dlatego będziesz mógł zabrać z niego tyle, ile jeden koń potrafi udźwignąć.

— Co znowu! — zaprotestował Antonie

— Nie zastanawiaj się teraz nad tym, tylko na koń i w drogę!

Miksteka dosiadł wierzchowca, ujął jucznego za cugle i ruszył przodem. Traper za nim. Noc była niezwykle ciemna. Indianin znał drogę, a i półdzikie konie meksykańskie widzą w nocy doskonale. Jechali jednak dosyć wolno, gdyż droga wiodła wśród gór.

Bawole Czoło milczał jak zaklęty. Słysząc było tylko miarowe kroki i parskanie koni. Tak upłynęło kilka godzin. Wreszcie przybyli do jakiegoś strumienia i ruszyli jego korytem. Po chwili wyrosła przed nimi ogromna góra. Indianin zsiadł z konia.

— Zaczekamy tutaj, aż dzień nastanie — powiedział.

Unger również zeskoczył z konia, puścił go wolno i usiadł obok towarzysza na kamieniu.

— Czy jesteśmy w pobliżu grotty?

— Tak. Tam gdzie ten strumień wypływa z góry, trzeba wejść do wody, schylić się, paść na ziemię, przeczołgać przez otwór i wtedy znajdziemy się w grocie, o której nikt nie wie oprócz Karii i mnie.

— Czy na Karię można liczyć?

— Ona milczy!

Unger przypomniał sobie rozmowę z Emmą i zauważył:

— Ale jest ktoś, kto chce od niej wydobyć tajemnicę skarbu. To hrabia Alfonso.

— Uff!

— Jesteś moim przyjacielem i dlatego mogę ci powiedzieć, że ona go kocha.

— Wiem o tym.

— A jeżeli wyjawiała hrabiemu tajemnicę?

— To jest tu jeszcze Bawole Czoło! Alfonso nie dostanie nic ze skarbu!

— Czy skarb jest wielki?

— Zobaczysz. W każdym razie mogę ci powiedzieć, że złoto całego Meksyku niewarte jest jego dziesiątej części. Był jeden biały, który widział skarb...

— Zabiliście go?

— Nie! Nie trzeba było zabijać, bo oszalał, oszalał z zachwytu i chciwości. Białym szkodzi

widok takiego bogactwa, tylko Indianie mają odpowiednią wytrwałość ducha i zmysłów.

— A mnie chcesz go pokazać?

— Nie! Pokażę ci tylko jego część. Kocham cię i nie chcę, byś i ty oszalał. Daj mi rękę, chcę zbadać twój puls.

Indianin ujął rękę białego, namacał puls, po czym rzekł:

— Tak, tyś niezwykle silny. Duch złotą jeszcze cię nie ogarnął, ale tam, w pieczarze, krew twoja pulsować będzie bardzo prędko.

Zamilkli. Ungerowi dziwnie jakoś zrobiło się na duszy, jak nigdy dotąd. Tymczasem zaczęło świtać. Pierwsze błyski słońca rozpraszały mrok, można już było rozróżnić poszczególne przedmioty.

Unger ujrzał górę El Reparo ze stokami pokrytymi dąbrową. U stóp jej płynął strumień szeroki na metr, głęboki na jakieś półtora.

— Więc tu jest wejście? — zapytał.

— Tak. Ale nie wchodźmy jeszcze! Trzeba ukryć konie. Musimy być ostrożni.

Ukryli konie w zaroślach. Potem wrócili, zatarłszy ślady zwyczajem indiańskim. Zatrzymali się przed skałą, z której wypływał potok.

— Chodźmy — rzekł Bawole Czoło, wchodząc do wody.

Jakiś czas posuwali się w górę, aż weszli do ciemnej groty. Powietrze było w niej suche; mimo że w dole płynął strumień.

— Podaj mi rękę — polecił Indianin — pomogę ci wydostać się z wody. Serce masz mocne! A teraz zapalę pochodnię.

Odszedł parę kroków. Po chwili Unger zobaczył blade, fosforyzujące światło i usłyszał coś w rodzaju syku, po czym zapłonęła pochodnia.

Ale cóż to się stało? To nie jedna zabłysła pochodnia, lecz tysiące. Wydało się Ungerowi, że stoi pośrodku olbrzymiego, jaskrawo błyszczącego słońca, a wśród tych niezliczonych blasków i oślepiających lśnień rozległ się głos Indianina:

— Oto grota królewskich skarbów! Bądź silny, panuj mocno nad swoją duszą!

Wzrok Ungera z trudnością przyzwyczajał się do wspaniałego blasku. Grota tworzyła bardzo wysoki czworokąt o krawędzi dłuższej na sześćdziesiąt kroków. Aż po sklepienie wypełniona była kosztownościami lśniącymi tysiącami barw. Były tam święte posągi, wysadzane najcudowniejszymi klejnotami, a wśród nich postacie boga powietrza Quetzalcoatla, stwórcy Teskatlipoka, boga wojny uitzilopochtli i jego małżonki Teoyaniki, boga wojny Chalchiutlicue, boga ognia Ixkozauhki i boga wina Cenzoutotochtina. Pod ścianami stały setki posągów bogów domowych z najszlachetniejszych metali albo z toczzonego kryształu. Całe rzędy pancerzy bojowych, ze złota, naczynia złote i srebrne, naszyjniki z diamentów, szmaragdów, rubinów i innych drogocennych kamieni, noże ofiarne o wspaniałych rękojeściach, skóry zwierząt oprawne w złote ramy. Pośrodku sklepienia wisiało coś w rodzaju świecznika: była to korona królewska w kształcie czapki, złota, wysadzana diamentami. Dalej leżały całe wory pełne sztab złota i złotego proszku, stały skrzynie naładowane nuggetami, niejednokrotnie wielkości kurzego jaja. Obok piętrzyły się stosy srebra. Stoły ugiwały się pod miniaturami świątyń meksykańskich Cholula i Teotihuakan, na ziemi zaś i po kątach błyszczało od wspaniałych mozaik ze złota, srebra, drogocennych kamieni i pereł.

Widok ten wprost oszołomił Ungera. Miał wrażenie, że jest księciem z baśni tysiąca i jednej nocy. Na próżno skupiał całą siłę woli, aby nie stracić równowagi; krew tętniła mu w skroniach, wszystko mieniło się w oczach. Był jak we śnie. Teraz już wiedział, że widok takiego bogactwa może obudzić pożądanie, które nie cofnie się nawet przed zbrodnią.

— To skarb królewski! — powtórzył Indianin. — Należy tylko do mnie i Karii, ostatnich

potomków Miksteków!

— Jesteś bogatszy niż wielu książąt!

— Mylisz się. Jestem biedniejszy od ciebie i innych. Jestem wnukiem władcy, którego panowanie bezpowrotnie minęło, którego państwo leży w gruzach. Gdzież są nasi wojownicy, którzy nosili te zbroje? Gdzie domy, w których żyliśmy w spokoju? Biali zniszczyli je doszczętnie. I oto my, wnukowie najpotężniejszych, musimy tułać się po lasach i preriach, musimy trudnić się polowaniem na bawoły. Przyszli biali, kłamali i oszukiwali, mordowali i popełniali zbrodnię za zbrodnią w moim narodzie — wszystko dla tych skarbów! Zwyciężyli, lecz kraj opustoszał. Ziemi woleliśmy oddać skarby niż mordercom! Tyś inny niż oni wszyscy, serce twe czyste i szlachetne. Uratowałeś moją siostrę, jesteś mi bratem, dostaniesz tyle skarbów, ile koń potrafi udźwignąć! Wybieraj spośród ziaren złotych, których widzisz całe wory, spośród łańcuchów, pierścieni i kosztowności. Wybieraj! Ale tylko z tych skarbów, wszystkie inne są święte i niechaj nigdy nie padnie na nie blask słońca, widziały bowiem upadek Miksteków!

Unger dostał zawrotu głowy.

— Ależ ty darujesz mi setki tysięcy dolarów!

— Nie, to warte miliony!

— Nie mogę tego przyjąć!

— Dlaczego? Przecież to dar przyjaciela. — Nie chcę ciebie okradać.

Indianin wyniośle pokręcił głową.

— To nie rabunek i żadna z mojej strony ofiara. To przecież tylko część skarbów, jakie kryje El Reparo. Są tu inne jeszcze groty, o których nie wie nawet siostra moja Karia. Tylko ja jeden je znam i z moją śmiercią zejdzie do grobu ich tajemnica. Odchodzę teraz, by do nich zajrzeć. Przyjrzyj się skarbowi i odłóż te, które zechcesz wziąć. Gdy wrócę, załadujemy wszystko na konia i powrócimy do hacjendy,

Po tych słowach umocował pochodnię w ziemi i oddalił się.

Unger został sam wśród niezmiernych skarbów. Jak bezgraniczne zaufanie miał do niego ten Indianin! Mógłby go przecież zabić. Ale nawet przez moment myśl ta nie powstała w jego głowie. Miał przecież dosyć tego, co mu ofiarował Tecalto.

Tymczasem hrabia Alfonso był w drodze wraz ze swą służbą. Strach przed skutkami nieostrożności pędził go naprzód. Był wprawdzie bratankiem hrabiego Fernanda, właściciela hacjendy, ale czymże to było tutaj, wśród Indian? O jednym tylko myślał: zabrać skarb i uciekać z Meksyku!

Alfonso znał dobrze górę wskazaną przez Karię, ale nie ten jej stok, przy którym należało szukać groty. Tylko z grubsza orientował się, jak jechać. Dlatego też wyprawa posuwała się bardzo powoli.

Nareszcie ze świtem dotarli do podnóża góry. Przekroczyli pierwszy strumień, przy drugim hrabia polecił, by się zatrzymano. Nie chciał zabierać służby do podziemia.

— Zaczekajcie tutaj! — powiedział.

— Jak to, hrabia nas opuszcza?

— Na krótką chwilę.

Oddalił się konno w kierunku drugiego strumienia. Tu zsiadł z wierzchowca i przywiązawszy go do drzewa, badał teren. Po chwili wszedł do lodowatej wody, schylił się i zaczął pełznąć na czworakach. Jeszcze nie doszedł do miejsca, w którym zaczynała się grota, gdy nagle zobaczył snop światła. Cóż to może być? — pomyślał. Skąd to światło pochodzi? Czy promienie słońca przebijają się poprzez szczeliny?

Wszystko przemawiało za tym, że blask, który ujrzał, szedł od pochodni, lecz hrabia nie cofnął

się, pełzł dalej. Nagle uderzyły go w oczy złote i diamentowe błyskawice. Przeraził się, skoczył na równe nogi. Był w środku groty. Drżał na całym ciele, potęga bogactwa zapanowała nad nim. Omal nie zaczął krzyczeć z radości, lecz opamiętał się. Wtem zamarł z przerażenia: o pięć kroków przed nim ktoś klęczał, przeglądając skarby. To Unger!

Czy jest tu sam, czy też z kimś jeszcze? — myślał intensywnie hrabia. Szybko zlustrował grootę. Nic nie zabierze ze skarbu. Zemszczę się teraz na nim! Zabiję go jak psa! — przebiegło mu przez myśl niczym błyskawica. Tuż obok stała maczuga wojenna, wyciosana z mocnego drzewa, nabita ostro szlifowanymi kryształami. Chwycił ją za rękojeść, ozdobioną szlachetnymi kamieniami, i stanął za plecami Ungera, który z zachwytem ważył w rękach precudnie wykuty łańcuch.

— To cud! — szeptał Unger. — Wystarczą rubiny tego łańcucha, aby przemienić mnie w bogacza!

W tej samej chwili dostał w głowę cios tak potężny, że zwałił się na ziemię, wypuszczając z ręki kosztowny łańcuch.

Hrabia wydał okrzyk, triumfu.

— Zwyciężyłem! Wszystko, wszystko należy do mnie! Opanowała go radość granicząca z szaleństwem. Zaczął klaskać w dłonie, biegać po grocie, skakać.

Nagle stanął jak wryty. Miał przez chwilę wrażenie, że widzi upiora. Ktoś patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Nie, to nie zjawa, to Bawole Czoło!

Dwoma susami skoczył Miksteka do hrabiego i chwycił go za gardło.

— Psie przeklęty, co tu robisz?

Alfonso nie mógł wydobyć głosu. Czuł, że nadeszła ostatnia godzina. Przejęło go straszliwe zimno, dygotał jak w febrze.

— Zabiłeś go?! — krzyknął Bawole Czoło, wskazując na Ungera i porzuconą maczugę.

— Tak, zabiłem! — jęknął hrabia w najwyższym przerażeniu.

— Dlaczego?

— Wszystkiemu winne te skarby! — wymamrotał.

— Byłeś jego wrogiem! Już dawno życzyłeś mu śmierci. Biada ci, po trzykroć biada!

Indianin schylił się nad Ungerem, hrabia stał nieruchomo. Mógł chwycić za maczugę i przynajmniej spróbować walki, nie miał jednak siły, był zaskoczony i rozbity.

— Nie żyje — powiedział Bawole Czoło, prostując się. — Odbędę sąd nad tobą, zgotuję ci śmierć, jakiej nikt jeszcze nie miał. Jesteś mordercą najdzielniejszego człowieka. Śmierć twa będzie tysiąckrotna.

Alfonso trząsał się jak osika na wietrze.

— Ty podły, mizerny robaku! — Miksteka patrzył na niego z pogardą. — Kto zdradził ci drogę do groty?

Hrabia milczał. Zdawało mu się, że jest na sądzie ostatecznym.

— Odpowiadaj! — krzyknął Indianin.

— Karia — wyszeptał.

— Karia? Moja siostra?

— Tak.

— Mówisz prawdę czy łżesz? — oczy Miksteki błyszczały niesamowicie. — Może w ten sposób chcesz uniknąć kary?

— Mówię prawdę.

— Musiałeś użyć czarodziejskich sztuczek, by wyrwać jej tajemnicę El Reparó. Udawałeś przed nią miłość? Hrabia milczał.

— Mów! Tylko prawda może ci jeszcze pomóc. Czy wiesz, jaką śmierć ci zgotuję? Tam w górach leży niewielka sadzawka, w niej pływa dziesięć świętych krokodyli. W ich brzuchach zginęło już wielu zbrodniarzy. Mają one przeszło sto lat, od dawna zaś nic nie jadły. Zawlokę cię na górę, powieszę na drzewie, krokodyle będą się starały ściągnąć cię z niego. Będą wprost się biły o ciebie, będziesz wdychiwał smród tych bestii, będziesz wisiał tak nad nimi dnie i noc. Spali cię słońce, wyschniesz z głodu i pragnienia, a dopiero gdy zgnije twój trup, spadniesz z drzewa i pożrą cię aligatory. A więc — powtórzył — tylko zupełna szczerłość może jeszcze twój los złagodzić. Mów! Zapewniałeś moją siostrę, że ją kochasz?

— Tak.

— Lecz nie kochasz jej?

— Nie — hrabia nie miał odwagi skłamać.

— A ona cię kocha? — pytał dalej Miksteka. Alfonso skinął twierdząco głową.

— Gdzie mieliście tajemne schadzki?

— W gaju oliwnym za hacjendą.

— Czyś obiecał jej małżeństwo?

— Tak.

— Kiedy zdradziła ci tajemnicę? — Wczoraj wieczorem.

— Czy jesteś tu sam?

— Nie, w towarzystwie dwóch służących.

— Mieli ci pomóc w wyniesieniu skarbów? Zdradziłeś im tajemnicę?

— Nie mają pojęcia, co mieli nosić. Nie wiedzą również, gdzie leży grota.

— Gdzie są?

— Niedaleko stąd.

— Więc chodźmy do nich. Chwilowo cię nie związę, bo i tak mi nie uciekniesz. Jesteś marnym robakiem, którego zgniotę jednym palcem!

Ujął hrabiego za ramię i wyprowadził z groty. Weszli do wody. Niska jej temperatura oraz świeże powietrze podziały orzeźwiająco na Alfonsa. Wstąpiła w niego otucha, zaczął wierzyć, że nie wszystko jeszcze stracone.

— Gdzie twój koń? — zapytał Indianin.

— Na prawo stąd, przywiązany do dębiny.

— A twoi ludzie?

— Tam, za pagórkami.

— Chodź do konia!

Kiedy doszli do miejsca, w którym hrabia zostawił wierzchowca. Bawole Czoło związał Alfonsowi rzemieniem ręce na plecach, skrępował nogi i zakneblował usta. Hrabia nie opierał się. Odebrawszy mu broń, wódz Miksteków poczołgał się cicho za pagórek, gdzie słudzy czekali na swego pana. Obaj siedzieli na ziemi i żywo rozprawiali.

Są za blisko skarbu. Muszą umrzeć — pomyślał Indianin. Z zimną krwią zdjął strzelbę, zabraną przed chwilą hrabiemu, i wycelował. Jeden, drugi strzał z dwururki i obaj słudzy legli trafieni w skroń. Bawole Czoło podszedł do nich i przekonawszy się, że nie żyją, wrócił do jeńca.

SADZAWKA KROKODYLI

Tymczasem Apacz wraz z Karią i vaquerem zbliżali się również do El Reparo. Jechali dłużej niż zakładali, Indianka bowiem zbłądziła wśród nocy.

— Oto strumień — rzekła Karia do Niedźwiedziego Serca. — Już niedaleko do groty.

Apacz szukał czegoś na ziemi.

— Uff! — powiedział, wskazując na ślady. — Hrabia jechał tędy ze swoimi ludźmi. Musimy być ostrożni.

Ruszyli dalej. Wódz nagle zatrzymał się, ujrawszy muły pasące się spokojnie w krzakach. Zeskoczył z konia. Dając znak ręką, by czekano na niego, znikł w zaroślach. Po chwili krzyknął. Karia i vaquero już byli przy nim. Na ziemi leżały ciała zabitych służących.

— To służba hrabiego! — zawołała Karia. — Kto zabił tych ludzi?

Apacz szczegółowo badał ziemię. Przeszukał też sąsiednie krzaki.

— Tecalto — powiedział.

Dosiadł konia i ruszył przodem. Karia i vaquero za nim. Jeszcze nie dotarli do miejsca, gdzie leżał jeniec, gdy Bawole Czoło stanął przed nimi. Usłyszał tętent kopyt końskich i skrył się w krzakach. Rozpoznawszy siostrę i Niedźwiedzie Serce, wyszedł im naprzeciw.

— Tecalto! Gdzie jest Piorunowy Grot? — dociekał Apacz.

— Zabity.

— Kto to zrobił? — spytał głucho Indianin.

— Hrabia Alfonso.

— Gdzie?

— Tego nie mogę powiedzieć — odparł Bawole Czoło, wskazując wzrokiem pastucha. — Chodźcie do hrabiego. Pojmałem go.

W oczach Alfonsa, kiedy ich zobaczył, odmalował się jeszcze większy strach. Lecz ani Karia, ani Niedźwiedzie Serce nie obdarzyli go nawet pogardliwym spojrzeniem. Miksteka zwrócił się do wodza Apaczów:

— Niech mój brat pilnuje tego człowieka, dopóki nie wrócę.

Oddalił się, aby zajrzeć do groty. Od razu zauważył, że Unger leży w innej pozycji niż poprzednio. Pochylił się nad nim. Serce tamtego biło! Unger oprzytomniał zapewne na chwilę i poruszył się, teraz jednak znowu leżał zupełnie nieruchomo. Bawole Czoło wyniósł go ostrożnie z groty i ułożył na trawie przy jeńcu.

Apacz chwycił za strzelbę.

— Jeżeli umrze mój biały brat — rzekł — biada mordercy! Niechaj dzikie bestie rozszarpią jego ciało, Shosh-in-lit, wódz Apaczów, to powiedział. Howgh!

Potem przyjrzał się Ungerowi.

— Ma straszną ranę na głowie. Czaszka uszkodzona! Trzeba sporządzić nosze, żeby przenieść go do hacjendy. Ja tymczasem poszukam zioła oregano, które leczy każdą ranę, usuwa każdą gorączkę.

Gdy vaquero oddalił się, aby upleść nosze, a Apacz, by szukać rośliny, Karia cicho spytała brata:

— Gniewasz się na mnie?

Tecalto nie spojrział nawet na nią, rzekł tylko:.

— Dobry duch opuścił córkę Miksteków.

— Ale na niedługi czas.

— W tym czasie stało się wiele smutnych rzeczy. Czy kochałaś hrabiego?

— Tak.

— Czy wierzyłaś, że jest ci wzajemny?

— Tak.

— I wierzysz, że chciał cię uczynić swą małżonką?

— Tak. Mam na to pismo od niego.

— Czy dasz je swemu bratu?

— Weź je! Czy mi przebaczysz?

— Przebaczę, jeżeli będziesz mi we wszystkim posłuszna.

— Będę posłuszna! Cóż mam uczynić?

— O tym dowiesz się później. A teraz siadaj na konia i wracaj do hacjendy. Powiedz tam wszystkim Indianom, którzy są dziećmi Miksteków, by tu przybyli czym prędzej. Powiedz im, że wódz ich Tecalto tak rozkazał!

— Już jadę.

Dosiadła konia i pomknęła niczym strzała.

Po upływie jakiegoś kwadransa wrócił Niedźwiedzie Serce z ziołami. Zgniół je i obłożył nimi głowę przyjaciela.

Vaquero przygotował tymczasem z gałęzi i koców miękkie, wygodne nosze, które umieszczono na dwóch koniach i złożono na nich Ungera.

— A co będzie z hrabią? — zapytał vaquero.

— Należy do mnie — odparł Bawole Czoło. — Pojedziesz z Piorunowym Grotem do hacjendy. Niedźwiedzie Serce zaś zostanie ze mną.

Vaquero oddalił się z rannym Ungerem. Obaj Indianie milczeli przez dłuższą chwilę. Wreszcie Bawole Czoło przeciął więzy krępujące nogi hrabiego. Gdy jeniec wstał, Tecalto przywiązał go rzemieniem do swego konia. Następnie rzekł do Apacza:

— Niech mój brat jedzie za mną. Dosiadli koni i ruszyli.

Można sobie wyobrazić, jakie męki zaczęły się dla hrabiego, kiedy musiał biec za koniem. Po jakiejś godzinie wjechali do gęstego dziewiczego lasu. Pośrodku jego wznosiły się mury starożytnej świątyni Azteków. Był to kiedyś gmach w kształcie piramidy, otoczonej krużgankami i grubym murem. Teraz leżał w gruzach. W jednym z krużganków utworzyła się sadzawka. Tam zaprowadził Bawole Czoło swego przyjaciela oraz jeńca.

Sadzawka z biegiem czasu przekształciła się w rodzaj małego jeziora, nad którym rosły potężne drzewa. Tutaj obaj wodzowie zeskoczyli z koni. Miksteka usiadł wśród wysokiej trawy i skinął na Apacza, by zajął miejsce obok. Po dłuższym milczeniu Bawole Czoło zapytał:

— Czy brat mój kocha człowieka, zwanego Piorunowym Grotem?

— Kocham — odparł Apacz krótko.

— Ten biały chciał go zabić.

— Jest mordercą, mój biały brat może bowiem umrzeć.

— Jaka jest kara dla mordercy?

— Śmierć!

— Niech więc poniesie śmierć!

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia, po czym Bawole Czoło zaczął ponownie:

— Czy brat mój zna naród Miksteków?

— Znam.

— Był najbogatszy w Meksyku.

— Tak, miał ogromne skarby.

— Czy brat mój wie, co się z nimi stało?

— Nie wiem.

— A czy wódz Apaczów zachowa milczenie?

— Usta jego są jak zamknięta studnia.

— Dowie się więc, że Bawole Czoło jest tym, który strzeże skarbu.

— Niechaj mój brat Bawole Czoło zniszczy te skarby. W złocie mieszka zły duch. Gdyby ziemia była cała ze złota, Niedźwiedzie Serce wolałby raczej śmierć aniżeli życie.

— Brat mój posiadał mądrość starych wodzów. Ale inni ludzie kochają złoto. Ten hrabia przybył tutaj, aby zrabować skarb.

— Kto wskazał mu drogę?

— Karia, córka Miksteków.

— Karia? Siostra Bawolego Czoła?

— Tak — ponuro odpowiedział Indianin. — Dusza jej była niewinna, zaćmiła ją miłość do białego kłamcy. Przrzekł siostrze Tecalty, że ją pojmie za żonę, lecz chciał tylko zabrać skarb, a potem Karię opuścić.

— Hrabia jest oszustem!

— Jaka jest kara dla oszusta?

— Śmierć!

— A jaka dla oszusta, który równocześnie jest mordercą?

— Śmierć podwójna.

— Mój brat dobrze powiedział!

Znów zapanowało milczenie. Obaj Indianie sprawiali wrażenie surowego, nieubłaganego trybunału, od którego wyroku nie ma odwołania. Miksteka sam dałby sobie radę z hrabią, lecz wziął z sobą Apacza, by spełnić zemstę w majestacie prawa. Teraz tworzyli obaj sąd preriowy, którego bardzo lękają się przestępcy.

Mówili narzeczem Apaczów. Alfonso więc ich nie rozumiał, czuł jednak instynktownie, że los jego rozstrzyga się w tej chwili. Dygotał ze strachu na myśl o krokodylach, o których wcześniej mówił Bawole Czoło.

Miksteka zapytał znowu:

— Czy brat mój wie, gdzie można znaleźć podwójną śmierć?

— Niech mi to powie wódz Miksteków.

— Tam! — Bawole Czoło wskazał na wodę. Apacz nawet nie spojrzał we wskazanym kierunku.

Spytał tylko, jakby to było zupełnie naturalne:

— Mieszkają tam krokodyle?

— Tak. Zobaczysz je!

Miksteka podszedł do sadzawki, wyciągnął ramiona i zaczął wołać:

— Nikan! Tlatlaka! Chodźcie tu!

Na to wołanie coś poruszyło się w wodzie. Po chwili wypłynęło na brzeg z dziesięć krokodyli. Były to bestie długości jakichś czterech metrów. Ciała ich przypominały konary pokryte mułem, głowy wyglądały potwornie; co chwila otwierały paszcze, pokazując straszliwe kły. Widać było, że są głodne.

Hrabia krzyknął z przerażenia.

Obaj Indianie obrzucili go spojrzeniem pełnym największej pogardy. Czerwonoskóremu bowiem nie drgnie powieka nawet wtedy, gdy cierpi on najsrozsze męki. Wierzy w to, że ktoś, kto przy palu męczeńskim wyda choćby najsłabszy jęk boleści, nigdy nie dostanie się do Wiecznych Ostępów, jak Indianie nazywają niebo. Dlatego już dzieci przyzwyczajają się, aby bez jęku znosiły ból. Stąd też

niemal wszyscy czerwonoskórzy pogardzają białymi, którzy bez porównania gwałtowniej reagują na wszelkiego rodzaju cierpienia.

— Czy widzisz te wspaniałe okazy? — pytał Bawole Czoło. — Żaden z nich nie liczy mniej niż dziesięć razy dziesięć zim. A tu masz lassa, które przyniosłem z sobą. Zabrałem je służącym hrabiego.

— Rozumiem mego brata — powiedział Niedźwiedzie Serce.

— Jak sądzisz, czy wysoko może skoczyć krokodyl ponad powierzchnię wody?

— Tak. Na jeden metr, jeśli ciałem nie dotyka dna jeziora.

— A jeśli dotyka ogonem?

— Wtedy może podskoczyć na podwójną wysokość.

— W takim razie nogi tego człowieka będą na wysokości półtora metra ponad wodą. Kto wdrapie się na drzewo? Ja czy ty?

— Ja — odpowiedział Apacz.

Po tej rozmowie obydwaj podnieśli się z ziemi, podeszli do hrabiego i przeciągnawszy mu lasso podwójnie pod ramionami, związali jego ręce na plecach. Do lassa, którym Alfonso był przepasany, umocowano dwa inne. Niedźwiedzie Serce ujął ich końce i zaczął wspinać się na drzewo.

Hrabia zrozumiał, że zaczyna się taniec śmierci. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło, w oczach zaczęło wirować.

— Litości, litości! — zajęczał.

Obaj sędziowie nie zwracali na te jęki najmniejszej uwagi.

— Litości! Uczynię wszystko, czego zażądacie, tylko nie wieszajcie mnie nad tymi krokodylami. Błagam!

I na to pozostali głusi. Bawole Czoło ujął hrabiego za ramię i pociągnął w kierunku drzewa.

— Litości! Dam wam wszystko, hrabstwo całe, wszystkie posiadłości, całą Rodrigandę. Zrezygnuję ze wszystkiego, co mam, tylko darujcie mi życie!

Teraz dopiero przemówił wódz Miksteków:

— Czymże jest dla nas Rodriganda, twoje hrabstwo, czym wszystkie twoje włości!? Widziałeś skarby Miksteków, a jeszcze masz czelność ofiarowywać mi swą nędzę? Spójrz lepiej na te bestie, które nigdy dotąd nie jadły jeszcze białego hrabiego. Dopóki starczy ci sił, będziesz mógł podciągać w górę nogi, by ich nie urwały, lecz gdy zaczniesz słabnąć, urwą ci je z pewnością i zdechniesz jak pies. Trup twój zgnije, spadnie do wody i wtedy pożrą go ze smakiem. Oto jaki będzie koniec białego hrabiego, który w pogardzie swojej chciał oszukać Indiankę!

— Litości! — skomlał Alfonso śmiertelnie przerażony.

— A ty, czy miałeś litość, gdyś ranił serce Indianki? Zresztą, czy to jedyny twój występki? Wakonda nie pozwolił, aby człowiek wiedział wszystko. Nie znam twego życia, ale przysiągłbym, że wiele złego zrobiłeś. Krokodyle cię pożrą, chociaż tyś nędzniejszy niż te zwierzęta. Wakonda dał im życie, aby karmiły się padliną, a człowieka stworzył po to, aby krzewił dobro. Lecz twoja dusza jest stokroć podlejsza od duszy tych gadów!

Po tych słowach przyciągnął Alfonsa, który bronił się rozpaczliwie, tuż nad wodę. Pokonał opór hrabiego związując mu nogi rzemieniem.

— Litości! Zmiłowania! — jęczał Rodriganda.

Nic to nie pomogło. Bawole Czoło zaniósł go pod drzewo, Apacz wspinał się tymczasem na nie, trzymając lasso w zębach. Umocowawszy rzemienie na gałęziach, zaczął za pomocą lassa podciągać swą ofiarę do góry. Pomagał mu Bawole Czoło. Wszystko szło wolno, ale sprawnie.

Hrabia jęczał bez przerwy. W pewnej chwili zawołał:

— Puśćcie mnie, puśćcie! Będę wam służył jak ostatni pies, jak ostatni niewolnik!

— Tylko hrabia ma niewolników, my, wolni Indianie, nie znamy ich!

Widok aligatorów rzeczywiście mógł przerażać. Sadržawka była dla nich za mała, a przy tym brak było w niej pożywienia. Zaczęły już pożerać się wzajemnie — jednemu brakowało nogi, drugi zaś miał wydarty kawał boku. Wietrząc ofiarę, zebrały się wszystkie pod drzewem.

Machając olbrzymimi ogonami, patrzyły łakomie na hrabiego, rytmicznie otwierały i zamykały paszcze. Kłapanie to było niezwykle hałaśliwe; zdawało się, że ktoś uderza o siebie mocnymi deskami.. Alfonso szalał:

— Puśćcie mnie, bestie, łajdaki!

— Mój brat niech ciągnie mocniej! — zawołał Bawole Czoło do Apacza.

— Bądźcie przekłęci na wieki! — krzyczał Alfonso.

— Wystarczy — rzekł Tecalto, mierząc okiem znawcy odległość gałęzi od wody i porównując ją z długością lassa. — Mój brat otoczy gałąź sznurem i zacieśni węzeł!

Apacz wykonał polecenie. Nadeszła decydująca chwila. Hrabia ryczał już nieludzkim głosem:

— Wyście nie ludzie, a diabły wcielone!

— Nie, właśnie jesteśmy ludźmi, którzy diabłu wymierzają sprawiedliwość — odpowiedział Bawole Czoło. — Jazda!

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Miksteka wypuścił bowiem hrabiego z rąk, potężnie go pchnąwszy. Hrabia, przywiązany do gałęzi, znalazł się nad wodą. Kołysał się tam i z powrotem, a ile razy zbliżał się w tym wahadłowym kołysaniu nad powierzchnię wody, krokodyle podskakiwały do góry, aby go schwycić.

— Wszystko w porządku — stwierdził Bawole Czoło. Obaj Indianie stanęli na brzegu i przyglądali się, jak

kołysanie hrabiego coraz bardziej powolniało, aż wreszcie skazaniec zawisł nieruchomo. Okazało się, że Bawole Czoło świetnie wszystko wymierzył i przewidział. Hrabia wisiał w ten sposób, że krokodyle mogły go w każdej chwili chwycić za nogi. Musiał je więc podciągać do góry, gdy się tylko zbliżała któraś z bestii. Było jasne, że w miarę wycieńczenia ofiary zwierzęta zaczną ją pożerać kawałkami. Wiele zgrzeszył w swym życiu hrabia Alfonso, a ta okrutna śmierć była zapłatą za wszystkie jego winy.

— Sprawa skończona, wracamy — rzekł Apacz, sam przejęty strasznym widokiem.

— Idę za mym przyjacielem — odparł Tecalto. Odprowadzał ich nieludzki ryk skazanego na śmierć. Gdy przybyli do ujścia strumienia, znaleźli tam znaczną

liczbę Indian przysłanych przez Karię. Wszyscy należeli do przeznaczonego na zagładę szczepu Miksteków. Bawole Czoło zwrócił się do Apacza:

— Dziękuję memu bratu, że pomógł mi odbyć sąd nad bladą twarzą i ukarać ją. Niechaj wraca teraz do hacjendy i czuwa nad raną Piorunowego Grota. Ja przybędę tam dopiero jutro, gdyż tutaj czeka mnie jeszcze wielka praca.

Niedźwiedzie Serce udał się natychmiast w powrotną drogę.

Bawole Czoło skinął na Indian. Otoczyli go kołem, czekając na rozkazy.

— Jesteśmy synami plemienia — przemówił wódz — które musi zginąć. Blade twarze przynoszą nam śmierć. Szukają naszych skarbów, ale dotychczas nie zdobyli ich. Ojcowie wasi pomogli mym przodkom ukryć te skarby i nie zdradzili tajemnicy. Czy potrafilibyście milczeć tak samo, jak oni?

Skinęli głowami na znak, że umieliby równie ofiarnie strzec tajemnicy, a najstarszy spośród nich odezwał się:

— Przekłęte niechaj będą usta, które by zdradziły tajemne miejsce komukolwiek spośród białych.

— Wierzę wam. Ja jeden wiedziałem, gdzie się znajdują te skarby, ale też i jeden biały dowiedział się o tajemnicy. Wie on, gdzie spoczywa część złota, dlatego trzeba je przenieść gdzie indziej. Czy chcecie mi pomóc?

— Chcemy!

— Przysięgnijcie na dusze ojców i dzieci, że nie zdradzicie nowej kryjówki i że nikt z was niczego ze skarbów nie ruszy.

— Przysięgamy! — odrzekł i wszyscy zgodnym chórem.

— Zostawcie więc wasze konie i chodźcie ze mną! Czerwonoskórzy udali się za Bawolim Czołem do groty.

Po chwili wrzała w niej praca. Tylko jeden z nich pozostał, aby pilnować koni i trzymać straż.

Praca trwała całą noc. Nad ranem przed grotą stało kilkanaście worów z grudkami złota i złotym piaskiem. Wskazując na nie, wódz Indian rzekł:

— Nakryjcie to płachtami i załadujcie na konie. Będzie to podarunek Miksteków. dla jedyne go białego, który oglądał skarby własnymi oczyma, otrzymał bowiem na to moje przyzwolenie. Niechaj dar ten przyniesie mu szczęście!

Bawole Czoło wrócił jeszcze do groty. Ta jej część, którą widział Unger, była zupełnie pusta. Indianin rozejrzał się bacznie dokoła, podszedł do miejsca, gdzie na ziemi leżał lont, zapalił go od pochodni i śpiesznie opuścił grotę. Po paru minutach nastąpił wybuch. Ziemia zadrżała. Z gór i skał wydobywać się zaczął brunatny dym. Wnętrze groty zawaliło się w gruzy. Wejście zostało zasypane, skarby znowu ukryte.

— Przysięgnijcie raz jeszcze dozgonne milczenie — rzekł Bawole Czoło do swych ludzi.

I raz jeszcze przysięgli, po czym ruszyli w drogę.

Przybywszy do hacjendy, Niedźwiedzie Serce zastał cały dom w wielkim smutku. Emma czuwała niestrudzenie u łoża narzeczonego. Pomagała jej Karia. Don Pedro wysłał najlepszego jeźdźca na najlepszym koniu do Monclovy po lekarza. Gdy Niedźwiedzie Serce pojawił się na ganku, starzec począł go rozpytywać o szczegóły, mówiąc do niego indiańskim zwyczajem przez ty.

— Wracasz sam? A gdzie Tecalto?

— Został u stoku El Reparo.

— Co tam robi?

— Nie wiem.

— Podobno kazał, by przybyli do niego Indianie? W jakim celu?

— Nie pytałem o to.

— A gdzie jest hrabia Alfonso?

— Tego nie powiem.

Starzec był oburzony: nie wiem, nie pytałem o to, tego nie powiem! Cóż to znaczy?!

— Mój brat nie powinien pytać o rzeczy, o których nie mogę mówić. Wódz Apaczów zna tylko czyny, nie lubi słów.

— Mimo to chciałbym wiedzieć, co się tam stało.

— Może Karia opowie...

— J ona milczy jak zaklęta.

— Bawole Czoło opowie wszystko, gdy wróci. A teraz niech mnie mój brat zaprowadzi do łoża Piorunowego Grota, bym mógł obejrzeć ranę.

W pokoju Ungera zastali obie panny. Emmę we łzach, Indiankę w smutnym zamyśleniu. Ranny rzucał się na łóżku. Musiał bardzo cierpieć, nie jęczał jednak. Oczy miał zamknięte. Gdy Niedźwiedzie Serce wziął głowę Ungera w swe ręce, twarz chorego wykrzywiła się z bólu.

— No i co? — zapytał Indianina don Pedro.

— Nie umrze! Trzeba mu tylko ciągle przykładać zioła.

— Jutro przybędzie lekarz.

— Zioła oregano są mądrzejsze od lekarzy. Czy brat mój ma wśród pastuchów jakiegoś dobrego jeźdźca i strzelca?

— Tak, starego Francisca.

— Niech się tu stawi. Pojedzie ze mną do Komanczów.

— Co takiego? Do Komanczów? Po co?

— Odebraliśmy im jeńców, zabiliśmy kilku spośród nich. Przyjdą tutaj, aby się zemścić.

— Tutaj? Czy to możliwe? Tak daleko?

— Czerwonoskórzy nie znają odległości, jeżeli chodzi o zemstę lub oskalpowanie wroga.

Przybędą z pewnością.

— Po cóż więc wychodzić im naprzeciw?

— Chcę widzieć i wiedzieć, kiedy i jaką drogą przybędą.

— Czy nie lepiej, byś został tutaj? Rozstawimy warty. — Piorunowy Grot chciał iść naprzeciw Komańczom.

Ponieważ leży złożony ciężką niemocą, musi go wyręczyć wódz Apaczów!

— Niechże się tak stanie, jak chcesz. Każę zawołać Francisca.

Stary pastuch zgodził się towarzyszyć Niedźwiedziemu Sercu. Wkrótce wyruszyli w drogę, zaopatrzeni we wszystkie przedmioty potrzebne do zwiadu.

Gdy mężczyźni opuścili pokój, Emma znowu wybuchnęła płaczem. Uspokoiwszy się nieco, zaczęła całować Ungera. Pod wpływem pocałunków twarz rannego wypogadzała się, ustępował z niej wyraz cierpienia.

— Poznaje mnie, wie, że to ja go pieścę — ucieszyła się.

— Nie widzi cię przecież — powiedziała Karia.

— Ale wyczuwa moją obecność. Po co twój brat wziął go na górę El Reparo?! Nie byłoby tego strasznego nieszczęścia.

— Tecalto miał jak najlepsze zamiary. Chciał mu darować część królewskich skarbów.

— Cały zaś skarb tyś chciała oddać hrabiemu — rzekła Emma z goryczą.

— Nie potrafisz zapomnieć mi tego?

— Przebaczam ci, bo miłość tobą kierowała. Ach, żeby tylko wrócił do zdrowia!

— Ziele oregano uzdrowi go.

Przy trupach obydwu sług znaleziono podróżne rzeczy hrabiego. Karia postanowiła je przeszukać. Nie było, wśród nich nic godnego uwagi z wyjątkiem listu, który hrabia otrzymał w dniu wyjazdu. List ten Karia ukryła, korzystając z chwili, w której Emma pochyliła się nad chorym.

Niedźwiedzie Serce i towarzyszący mu vaquero gnali jak wicher. Około wieczora Apacz nagle osadził konia, zsiadł, schylił się i rzekł do Francisca:

— Czy widzisz te liczne ślady jeźdźców?

— Idą od północy.

— Zbaczają na zachód.

— Trzeba się dokładnie przyjrzeć tropom. Po chwili pastuch zauważył:

— Jest ich około dwustu.

Niedźwiedzie Serce skinął potakująco głową, po czym wskazał na świeży jeszcze ślad kopyt.

— Możemy uważać to za szczęśliwy przypadek — stwierdził pastuch. — Byli tu przed niespełną kwadransem.

Indianin wyprostował się i wskoczył na siodło.

— Naprzód! Muszę ich zobaczyć!

Podążyli po śladach. Już o zmroku ujrzeli na przełęczy niedalekiej góry długą/wężową linię jeźdźców.

— To Komanczowie — rzekł Apacz.

— Oczywiście. Idą na hacjendę.

— Do rana zostaną w górach. Niech mój brat wraca zaraz do domu i powie swemu panu, że wróg się zbliża. Ja tu zostanę i będę ich śledzić, muszę bowiem wiedzieć o każdym ich kroku.

Po tych słowach Niedźwiedzie Serce oddalił się, nie zapytawszy nawet, czy towarzysz zrozumiał dobrze polecenie i czy je wypełni.

— O Dios! — mruknął Francisco. — Dziwny człowiek z tego Indianina. Idzie przeciw dwustu zbrojnym wrogom, zostawia mnie bez pożegnania, nawet nie zatroszczy się o to, czy go usłucham.

Trzeba było jak najprędzej zanieść do hacjendy straszną wiadomość. Francisco nie szczędził więc konia. O północy był na miejscu. Wszyscy już spali, tylko Emma czuwała przy rannym. Vaquero zwrócił się do niej. Emma zbudziła ojca i don Pedro kazał Franciscowi wejść do sypialni.

— Czy to prawda, co powiedziała moja córka, że Komanczowie szykują napad?

— Prawda, senior.

— Kiedy to się może stać, chyba nie dziś?

— Nie, dziś na pewno nie.

— Ilu ich jest?

— Około dwustu.

— O Madonna, co za nieszczęście! Zniszczą całą hacjendę!

— Tego nie należy się obawiać. Mamy przecież ręce i dosyć broni.

— Jak daleko stąd ich widzieliście?

— Trzeba jechać klusem około sześciu godzin. Komanczowie ukryli się w górach. Z pewnością nikt nie zobaczy ich tutaj przed jutrzejszą nocą.

— Musimy przygotować wszystko do obrony. Co za nieszczęście, że senior Unger ranny!

— Przecież są zdrowi Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło.

— Bawole Czoło nie wrócił jeszcze z El Reparo. Należy go sprowadzić.

— Czy mam pojechać po niego?

— Jesteś zmęczony.

— Ja? Chyba tylko mój koń. Ale wezmę innego i w drogę!

— A czy wiesz, gdzie jest Tecalto?

— Nie.

— Pod górą El Reparo, u ujścia środkowego strumienia.

— Znajdę go z pewnością. Czy zbudzić służbę?

— Tak. Niechaj wszyscy będą w pogotowiu. Zaalarmowawszy służbę, Francisco skoczył na konia.

W kwadrans po jego odjeździe w całym folwarku rozpalono tyle ogni, że chyba żaden Indianin nie odważyłby się podkraść.

Vaquero znalazł Bawole Czoło pod górą, w chwili gdy wódz Miksteków szykował się właśnie do powrotu. Krzyknął do niego:

— Wracajcie do hacjendy! Komanczowie nadchodzą! W oczach Miksteki zabłysło zadowolenie.

— Skąd wiesz o tym? — zapytał.

— Sam ich widziałem.

— Gdzie?

Francisco zdał mu relację.

— No, jeśli tak, to jeszcze mamy czas — powiedział Bawole Czoło. — Ci Komanczowie stracą niejedną skalp pod hacjendą. Jeśli Niedźwiedzie Serce ich śledzi, nie ma się czego obawiać.

Przygalopowawszy do hacjendy, zastali w niej ogromny ruch. Czyniono przygotowania do obrony. Tecalto pokiwał głową na ten widok i rzekł do don Pedra:

— Czy uważasz Komanczów za głupców?

— Nie, w żadnym wypadku.

— Po cóż więc te przygotowania?

— Na miłość boską, czy nie mamy się bronić?

— Ależ owszem, tylko inaczej. Komanczowie wyślą z pewnością wywiadowców, którzy będą nas śledzić. W dzień nie natrą. A jeżeli chcemy odeprzeć napad nocny, nie powinni nawet przeczuwać, że się ich spodziewamy.

— Masz rację.

— Trzeba więc przygotować się po kryjomu. Ile masz dusz w hacjendzie?

— Czterdzieści.

— To wystarczy. Czy każdy jest uzbrojony?

— Wszyscy mają dobre strzelby. Mam nawet armaty.

— Armaty? — zdziwił się Indianin.

— Tak jest, cztery.

— Nic o tym nie wiedziałem.

— Kowal je przygotował podczas twojej nieobecności.

— Kowal? A czy są coś warte? — pytał Tecalto z niedowierzaniem.

— Wypróbowaliśmy je. Lufy sklecono z twardego drewna, a na nich założono mocne obręcze.

— W takim razie doskonale. Będziemy strzelać szkłem, gwoździami i starym żelastwem. Ponadto trzeba wiele pochodni. Napad nastąpi zapewne dzisiejszej nocy. Cały folwark musi być pogrążony w zupełnych ciemnościach, by się Komańczom zdawało, że wszyscy śpią. Gdy już będą blisko, zapalimy setki świateł i wtedy łatwo nam będzie strzelać do nich.

— Przygotuję więc pochodnie na dachu domu.

— Dobrze.

— A gdzie umieścimy armaty?

— Na wszystkich czterech rogach budynku, pod osłoną usypanych szańców. Lecz któż to?

Przed Bawolim Czołem stanął na spienionym koniu Niedźwiedzie Serce.

— Ty tutaj? — zawołał don Pedro. — Skąd przybywasz?

— Śledziłem Komanczów — wyjaśnił Apacz, zeskakując z konia.

— Gdzie są?

— Na górze El Reparo.

— Na górze El Reparo? Czy tam założyli obóz?

— Tak. Przybyli o północy.

— Od której strony rozbili namioty?

— Od północnej.

— A jeżeli... — Po tych słowach Bawole Czoło powiedział szeptem do Apacza: — Jeżeli znajdą hrabiego?!

— Pewnie już dawno załatwiły się z nim krokodyły — odparł równie cicho Niedźwiedzie Serce. Komanczowie szli w liczbie dwustu ludzi. Prowadził ich słynny wódz Arika-tugh, Czarny Jeleń.

Po jego bokach jechało dwóch konnych, doskonale obeznanych z okolicą Indian. Kierowali się na hacjendę. Nie przeczuwali nawet, że śledzi ich Niedźwiedzie Serce. Gdy przybyli pod górę El Reparo i zatrzymali się w gęstym lesie na północnym jej stoku, Czarny Jeleń zapytał jednego z towarzyszących mu ludzi:

— Czy syn mój nie zna tu miejsca, w którym można by się ukryć w ciągu dnia?

Zapytany namyślał się przez chwilę, po czym odrzekł:

— Znam. Na szczycie góry.

— Cóż to za miejsce?

— To ruiny świątyni, której krużganki pomieścić mogą tysiące zbrojnych.

— A więc pójdę wraz z tobą i zbadamy to miejsce. Pozostali niech tutaj zaczekają.

Mimo ciemnej nocy udało się Komańczom, dzięki niezwykle rozwiniętemu zmysłowi orientacyjnemu, odnaleźć w gęstym lesie mury świątyni. Przeszukali je dokładnie. Nie znalazłszy śladu człowieka, już mieli zawrócić, gdy nagle się zatrzymali. Przerażliwy, nieludzki krzyk przeszył powietrze.

— Co to może być? — zapytał Czarny Jeleń. Krzyk się powtórzył.

— To głos człowieka — powiedział przewodnik.

— Tak. Głos człowieka ogarniętego śmiertelną trwogą! Ale skądże ten głos pochodzi?

— Trzeba iść za nim, trzeba poszukać!

Doszli do sadzawki. Byli już bardzo blisko tych nieludzkich wrzasków. Jakkolwiek Indianie szczycą się, i słusznie, żelaznymi nerwami, krzyk ten nawet ich wprowadził w przerażenie.

— To gdzieś tu, w wodzie — rzekł przewodnik.

— Nie, nad wodą. Słuchaj!

— Woda rusza się i burzy, jakby w pobliżu były krokodyle.

Na wodzie ukazał się cały szereg smug.

— To z pewnością krokodyle. Czy widzisz te smugi?

— I człowiek między nimi! Nie, to niemożliwe!

— Człowiek jest nad nimi, na tym drzewie. — Arikatugh wskazał na drzewo cedrowe, przy którym stali.

— W takim razie jest do niego przywiązany. Znowu rozległ się ryk. Wiedzieli teraz, że pochodzi z przestrzeni między wodą a koroną drzewa.

— Czego chce ten, który woła? — zapytał głośnie Czarny Jeleń.

— Ratunku!

— Gdzie jesteś?

— Wiszę na drzewie.

— Nad wodą?

— Tak. Chodźcie tutaj!

— Ktoś ty taki?

— Hiszpan!

— Błada twarz należy do hiszpańskiego narodu — szepnął wódz do przewodnika. — W takim razie niech wisi. — Mimo to zapytał jeszcze: — Kto cię powiesił?

— Wrogowie!

— Jacy?

— Dwaj czerwonoskórzy.

— Uff! — rzekł Czarny Jeleń, Więc powiesili go tutaj, aby dokonać zemsty. — Jacy Indianie? — zwrócił się do wiszącego.

— Jeden z nich to Miksteka, drugi jest Apacz. Ratujcie, siły mnie już opuszczają, niedługo krokodyle rozerwą mnie na strzępy.

— Miksteka i Apacz — powiedział cicho wódz Komanczów. — Przecież to nasi wrogowie. Może warto uratować tego człowieka? Roznieśmy ogień, musimy mu się przyjrzeć!

Nazbierali trochę suchych, cienkich gałęzi, złożyli je na brzegu sadzawki i podpalili za pomocą punksu. Widać teraz było wiszącego na drzewie człowieka, który raz po raz podnosił nogi, gdyż krokodyle usiłowały dobrać się do nich.

— To okrutna zemsta — rzekł Czarny Jeleń. — Wybadajmy tego człowieka, za co go spotkała.

Wdrapał się na drzewo, wziął w rękę łąso i podciągnął wiszącego tak, że zabezpieczył go przed aligatorami. Hrabia poznał po barwach wojennych, że ma przed sobą Komanczów. Zrozumiał też od razu, że jest uratowany.

— Dlaczego powiesili cię na drzewie ci dwaj ludzie? — spytał wódz.

— Ponieważ walczyłem z nimi. Byliśmy wrogami.

— Dlaczego więc nie zabiłeś tych psów? Przecież Apacze i Mikstekowie to tchórze.

— Tak, ale to byli Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów, i Bawole Czoło, wódz Miksteków.

— Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło!? Gdzie oni są?

— Uwolnij mnie, a będziesz ich miał!

— A więc dobrze!

Po tych słowach Czarny Jeleń przeciął więzy krępujące hrabiego. Alfonso mimo wyczerpania siedział teraz na gałęzi o własnych siłach.

— Jestem wolny, wolny! — zawołał. — A teraz zemsta, zemsta!

— Będziesz jej mógł dokonać — wódz Komanczów poczuł w hrabim sprzymierzeńca: — Ale po co tak krzyczysz? Las ma uszy. Czy nie ma nikogo w pobliżu?

— Nikogo! Nikogo nie było na całej tej górze z wyjątkiem mnie i krokodyli. Do końca życia nie zapomnę tej okropnej nocy!

— Nie zapomnij i myśl o zemście! No, złaż z drzewa. Znalazłszy się na ziemi, hrabia wiedział już, że naprawdę jest uratowany.

— Dziękuję wam. Żądajcie, czego chcecie, zrobię wszystko!

Gdy usiedli na trawie, hrabia, wyciągnąwszy zbolące nogi, zapytał:

— Należycie do plemienia Komanczów?

— Tak. Jestem ich wodzem. Zowią mnie Arika-tugh.

— Idziecie na wroga?

— Tak. Czy znasz hacjendę del Erina?

— Doskonale!

— Jak się nazywa człowiek, który ją zamieszkuje?

— Pedro Arbellez.

— Czy ma córkę?

— Tak.

— Mieszka u niej Indianka z rodu Miksteków?

— Tak; to Karia, siostra Tecalty.

— Siostra Bawolego Czoła? — zdziwił się wódz.

— Uff! Tego nie wiedzieli Komanczowie, bo na pewno pilnowaliby jej lepiej. Ona i biała kobieta były u nas w niewoli.

— Wiem o tym.

— Wiesz o tym?

— Tak, gdyż mieszkają u mnie.

— U ciebie? Mówisz zagadkami! Przecież mieszkają w hacjendzie!

— Hacjenda należy do mnie.

— Do ciebie? Więc ty jesteś Pedro Arbellez?

— Nie. Nazywam się hrabia Alfonso de Rodriganda. Arbellez jest tylko moim dzierżawcą.

— Ach, tak — wódz Komanczów podniósł się z ziemi.

— W takim razie powiesimy cię znowu nad wodą, aby cię pożarły krokodyle.

Alfonso był tak pewny swego, że zapytał z uśmiechem:

— Dlaczego?

— Ponieważ jesteś obrońcą obydwu kobiet.

— Usiądź, Czarny Jeleniu! Nie jestem wcale ich obrońcą, przeciwnie, wrogiem, a twoim przyjacielem. To one są winne, że powieszono mnie tutaj, a tyś mi życie uratował. Odpłacę ci za to sownie, wydam w ręce Komanczów trzech ich największych wrogów: Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Piorunowego Grota.

— Piorunowego Grota? Czy mówisz o wielkim Itintice? Gdzie on jest?

Wódz Komanczów był jakby w gorączce. Coś mu podpowiadało, że dostanie w ręce tych trzech ludzi. Stracił spokój, właściwy swej rasie, i przestał panować nad sobą.

— Powiem wszystko, jeżeli złożysz obietnicę. Przyszedłeś, by napaść na hacjendę?

— Tak.

— Czy napad się uda?

— Czarnego Jelenia jeszcze nikt nigdy nie zwyciężył!

— Ilu was jest?

— Dziesięć razy po dwadzieścia.

— Dwustu? To wystarczy. Będziesz miał wszystkich trzech sławnych wodzów i skalpy wielu mieszkańców hacjendy, będziesz mógł zabrać wszystko, co znajdziesz na folwarku, ale pod jednym warunkiem: uszanujesz dom, który jest moją własnością!

Wódz Komanczów odrzekł po długiej chwili namysłu:

— Niech się stanie, jak chcesz! Gdzie są ci trzej ludzie?

— Wszyscy trzej są właśnie w hacjendzie — oznajmił triumfalnie hrabia. — Ale pamiętaj, mam twoje słowo!

— Wódz Komanczów nie zwykł nie dotrzymywać słowa. Dom do ciebie należy i będzie należał. Do Komanczów należeć będą za to trzej wrogowie, skalpy wszystkich mieszkańców folwarku i wszystko, co w nim znajdziemy. Czy hacjendę zbudowano z kamienia?

— Tak, otacza ją gruby mur. Zaprowadzę was. Dostaniecie się do domu, gdy wszyscy jego mieszkańcy będą pogrążeni w głębokim śnie. Zbudzą ich wasze noże i tomahawki!

— Czy dzierżawca ma broń?

— Tak, ale to mu się na wiele nie zda.

— Ilu jest ludzi na folwarku?

— Około czterdziestu.

— Cztery razy po dziesięć? To znaczy siedem razy po dziesięć, gdyż każdy z trzech wodzów wart jest dziesięciu.

— Piorunowego Grota nie należy brać w rachubę. Jest ranny, może nawet nie żyje. Zdzieliłem go maczugą przez głowę!

— A więc walczyłeś z Piorunowym Grotem? Kto podjął walkę z tym wodzem, ten z pewnością jest dzielnym wojownikiem.

— Nie jestem tchórzem, choć spotkałeś mnie związanego.

— Czy sądzisz, że się nas spodziewają?

— Nie słyszałem, by kiedykolwiek o tym mówiono.

— Wyślę kogoś na zwiady.

— Byleby go tylko nie zauważyli!

— Przeciwnie. Pójdzie prosto do hacjendy.

— W takim razie jest zgubiony!

— Nie! To nie człowiek z plemienia Komanczów, to czerwonoskóry chrześcijanin. Pochodzi z

meksykańskiego plemienia Opatów. Okażą mu ufność, a on tymczasem wybada dokładnie, czy są przygotowani do odparcia napadu.

Po tych słowach Czarny Jeleń polecił przewodnikowi przyprowadzić swych ludzi do ruin świątyni, do których udał się teraz wraz z hrabią. Hrabia raz jeszcze spojrział na sadzawkę, nad której wodą przeżył najstraszniejsze godziny swego życia. Aligatory leżały na brzegu i patrzyły tępym, nieruchomym wzrokiem na ofiarę, której nie udało im się pożreć.

CZARNY JELEŃ

Następnego ranka wódz Komanczów udał się wraz z hrabią i przewodnikiem na skraj lasu. Wtem rozległ się głuchy huk.

— Co to było? — zaniepokoił się Czarny Jeleń.

— To strzał — odpowiedział przewodnik.

— Nie, to odgłos detonacji — rzekł hrabia, domyślając się, co zaszło.

Patrzyli w stronę strumienia. Nagle ujrzeli dwóch oddalających się jeźdźców. Byli to Bawole Czoło i jakiś Indianin. Hrabia zwrócił uwagę na konia cugowego, który okryty był kocami. Zrozumiał natychmiast, że pod nimi ukryte są skarby.

— Co to za ludzie? — zapytał Czarny Jeleń.

— Należą do plemienia Miksteków — odparł hrabia.

— Plemię Miksteków zginie i przepadnie.

— No, nie pójdzie ci z nimi tak gładko. Przyjrzyj się ich wodzowi, Bawolemu Czołu.

— Więc to jest Bawole Czoło! — wykrzyknął Czarny Jeleń, obrzucając dalekiego jeźdźca ponurym wzrokiem. — Bliska już chwila, w której zginie przy palu w obozie Komanczów!

Wróciwszy do ruin świątyni, Czarny Jeleń polecił wywiadowcy, aby przygotował się do drogi. Człowieka tego ubrano w strój miejscowego Indianina, otrzymał starą strzelbę i najgorszego konia, jaki tylko się znalazł. Do hacjendy miał przybyć od strony południowej.

Bawole Czoło stał z dzierzawcą i Niedźwiedzim Sercem przy oknie, gdy nadjechał wywiadowca.

— Uwaga! — zawołał Apacz z drwiącym uśmiechem.

— Co się stało? — zapytał Arbellez.

— Nasz brat zwraca nam uwagę, że jest to oczekiwany wywiadowca — objaśnił Bawole Czoło.

— Nie należy przecież do plemienia Komanczów — powątpiewał don Pedro.

— Tak, to Mayo lub Opata. Ale to zwiadowca.

— A jak mam go traktować?

— Uprzejmie. Nie powinien się domyślić, że jesteśmy przygotowani do walki.

Don Pedro zszedł na podwórze. Indianin powitał go grzecznie i spytał:

— Czy jestem w hacjendzie del Erina, w której rządzi don Pedro Arbellez?

— Tak.

— A gdzie jest don Pedro?

— Ja nim jestem.

— Ach, przepraszam, czy udzielicie mi gościny?

— Bądź moim gościem w imię Boże! Skąd przybywasz?

— Przybywam przez góry z Durango.

— To daleka droga.

— Tak. Mieszkałem tam przez parę lat, ale wyгнаły mnie upały. Tu klimat lepszy. Czy nie potrzebuje pan vaquera, senior?

— Nie.

— Ani cibolera?

— Także nie.

— A może jednak przydałbym się na coś?

— Mam dosyć ludzi, ale możesz zostać i odpocząć po podróży.

— Dziękuję. Zostanę jakiś czas. Żeby tylko nie ci dzicy!

— Czy boisz się Indianina?

— Jednego nie, ale pięciu, dziesięciu, o i jak jeszcze! Idą słuchy, że Komanczowie mają ochotę przekroczyć granicę.

— Ależ to plotki! Nie wierzę, aby się odważyli. A, więc rozgość się w czeladnej, jedz i pij do syta!

Don Pedro oddalił się, zostawiając Indianina w przekonaniu, że w całej hacjendzie nikt nie przypuszcza, by wróg mógł być niedaleko. Wywiadowca, jak widać, niezbyt był zmęczony,- gdyż włączył się po folwarku do południa, po południu zaś wsiadł na konia i odjechał. Okrężną drogą wrócił do Komanczów, którzy oczekiwali go z wielką niecierpliwością. Gdy opowiedział o swej wyprawie, na twarzy Czarnej Jelenia pojawił się złowieszczy uśmiech.

— Straszne będzie przebudzenie się hacjendy. Synowie Komanczów powrócą z obfitym łupem i z wieloma skalpami!

Na wielkiej radzie wojennej postanowili wyruszyć z nastaniem zmroku. O północy mieli być tuż przy hacjendzie. Według ułożonego planu należało ją okrążyć z czterech stron, potem, na znak wodza, przedostać się przez mur i otoczyć cały dom. Pięćdziesięciu Komanczów wdrze się przez okna do wnętrza i wtedy nastąpi rzeź.

Podczas gdy plan ten omawiano w gruzach świątyni, druga rada wojenna odbywała się w hacjendzie.

— Czy rac jest pod dostatkiem? — zapytał Bawole Czoło.

— Tak. Nasi vaquerzy nie wyobrażają sobie święta bez rac — odparł don Pedro. — A dlaczego o to pytasz?

— Najważniejsza rzecz, to odebrać im konie, żeby nie mogli uciec. Trzeba uważać, gdzie je zostawia. W odpowiedniej chwili rzucimy tam płonące race i pochodnie.

— Doskonale!

— Trzeba jednak do tego ludzi odważnych i ostrożnych.

— Mam takich. Kiedy zaczniemy sypać szańce?

— Postanowiliśmy wprawdzie poczekać, aż nastaną ciemności. Ponieważ jednak wywiadowca odjechał uspokojony, nie przypuszczam, by nas jeszcze szpiegowano. Możemy zaczynać!

Rozpoczęła się żmudna praca. Zszedł na niej wieczór. W godzinę przed nadejściem północy Apacz ruszył na zwiady. Wziął dwóch dobrze uzbrojonych służących, którzy mieli z sobą tyle rac, że można by nimi spłoszyć stado koni. Niedźwiedzie Serce wrócił niedługo, ale sam.

— Widziałeś ich? — spytał Bawole Czoło.

— Tak.

— Gdzie są?

— Zsiedli już z koni. Otoczyli mur, wierzchowce stoją przy źródle.

— Ilu wartowników ich pilnuje?

— Tylko trzech.

— Uff! — ucieszył się Bawole Czoło. — Nasi dwaj ludzie sprostają zadaniu!

Don Pedro udał się do pokoju, w którym obie panny czuwały przy chorym. Były blade, gotowe na wszystko.

— Czy Komanczowie już tu są? — zapytała Emma.

— Tak. Chory śpi?

— Mocno.

— W takim razie możecie objąć swój posterunek. Oto lonty!

Emma i Karia pośpieszyły na ganek, gdzie w każdym rogu, obok stosów drewna polanych naftą, leżały ciężkie kamienie. Stało tam również kilka nabitych armat, które miały obsługiwać kobiety.

Noc była cicha. Dolatywał tylko szmer strumienia albo dalekie rzenie żrebacka na pastwisku. W oczekiwaniu walki niejedno serce biło mocniej niż zwykle. Nagle rozległo się głośnie rechotanie żaby. Naśladownictwo dźwięków było tak łudzące, iż jedynie świadomość o napadzie Komanczów pozwoliła mieszkańcom hacjendy domyślić się, że jest to znak do ataku.

Stary vaquero Francisco wyprosił sobie obsługiwane armaty; która miała bronić głównego wejścia do domu. Nabił ją szkłem, gwoździami i kawałkami żelaza; pod kocem, który narzucił na działo, palił się lont. Staruszek czujnie nasłuchiwał każdego szmeru.

W oknie na prawo od wejścia stał Apacz, w oknie po lewej stronie wódz Miksteków. Obaj mieli strzelby w rękę i badawczo, przenikliwie patrzyli w ciemność. Po raz drugi odezwało się rechotanie żaby i w tej samej chwili zawrzało przy murze jak w ulu. Dwieście głów wychyliło się spoza niego, dwieście ciemnych, zręcznych postaci zeskoczyło na podwórze. Wtedy Apacz przyłożył strzelbę do ramienia i zawołał:

— Ankhuan selkhi no-khi! Ognia!

Wypalił. Ledwie padł jego strzał, Emma i Karia przyłożyły lonty do prochu; polana drewna zapłonęły od razu, oświetlając jaskrawo cały teren walki. Było to dla wrogów całkowitym zaskoczeniem. Stary Francisco zobaczył pięćdziesięciu Komanczów zbitych w gromadę. Zatrzymali się w odległości zaledwie piętnastu metrów od domu. Wypalił z działa. Skutek wystrzału był straszny. Skłębione postacie wiły się po ziemi. Vaquero wystrzelił raz jeszcze. I tym razem pocisk nie chybił. Strzelano też z innych armat, ze wszystkich okien, z ganku. Wtem.. zatrzeszczało coś w oddali. Luna oblała horyzont. Po chwili dało się słyszeć rzenie i parskanie setek przerażonych koni, które rzuciły się do ucieczki; aż ziemia zadrżała pod kopytami.

Komanczowie wydawali okrzyki bezsilnej wściekłości. Byli jasno oświetleni i tworzyli zupełnie wyraźny cel. Strzelanie zaś do całkowicie zaciemnionego domu nie miało najmniejszego sensu. Nie spodziewali się takiego przyjęcia. Już w pierwszych minutach napadu zdziesiątkowano ich. Pozostawała tylko ucieczka. Jedynie Czarny Jeleń wzywał swych ludzi, by nie uciekali. Na próżno jednak! Rzucił jeszcze okiem na teren walki: trup na trupie! Widząc, że wszystko przepadło, i on postanowił się wycofać. W chwili gdy przeskakiwał mur, zobaczył go Niedźwiedzie Serce.

— Arika-tugh! — zawołał Apacz. Nie mógł, niestety, zabić wroga, bo w strzelbie zabrakło naboju. — Czarny Jeleń! — zawołał raz jeszcze, odrzucając strzelbę i wyciągając zza pasa tomahawk. — Czarny Jeleń pokazuje wrogowi plecy!

Po tych słowach zeskoczył z okna, przebiegł podwórze i przesadził mur.

— Niechaj Czarny Jeleń się zatrzyma! — wzywał uciekającego. — Woła go Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów. Czy wódz Komanczów będzie uciekał przed nim?

Arika-tugh zatrzymał się.

— Tyś Niedźwiedzie Serce? Podejź bliżej, a oddam tve wnętrzości sępom na pożarcie!

Zwarli się, walcząc na tomahawki. Niebawem się okazało, że Apacz, ma przewagę nad przeciwnikiem. Ale oto zbliżyła się jakaś postać ze strzelbą w rękę: hrabia Alfonso. Rodriganda został za murem, nie miał ochoty nadstawiać karku na strzały, czekał na wynik walki. Widząc zmagania dwóch wodzów, zaszedł Apacza od tyłu i uderzył go kolbą w głowę tak mocno, że ten zwałił się na ziemię. Czarny Jeleń wyciągnął nóż, by zabić wroga i oskalpować, ale hrabia go powstrzymał:

— Zasługuje na inną śmierć!

— Masz rację. Prędko do koni!

— Do koni? Nie ma ich przecież!

— Nie ma?

— Tak. Przestraszyły się rac i pochodni.

— W takim razie uciekajmy pieszo!

Wzięli Apacza pod ramiona i powlekli po ziemi. Czas był najwyższy. Bawole Czoło zauważył bowiem, że Apacz wyskoczył za Czarnym Jeleniem, i zorientował się, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Zorganizował więc wypad w poszukiwaniu towarzysza. Niestety, nigdzie nie można go było znaleźć...

Niedźwiedzie Serce leżał omdlały przez kilka godzin. Gdy otworzył wreszcie oczy, ujrzał najpierw ognisko, a potem gromadę czerwonych postaci pochylonych nad nim. Był związany; po jego prawej ręce siedział Czarny Jeleń, po lewej hrabia Alfonso.

Zauważywszy, że Apacz otwiera oczy, hrabia rzekł:

— Zbudził się nareszcie!

Oczy Indian, zgromadzonych przy ognisku, zwróciły się ku jeńcowi. Wszyscy słyszeli o Niedźwiedzim Sercu, wszyscy znali jego sławne imię, ale tylko niewielu widziało go na własne oczy. Był spokojny, jak przystało Indianinowi. Głowa bolała go od ciosu hrabiego, pamiętał jednak o wszystkim, co zaszło.

— Tchórzliwa żaba Apaczów jest w naszej niewoli — szydził Czarny Jeleń.

Apacz uśmiechnął się pogardliwie:

— Wódz Komanczów uciekał jednak przed tą żabą.

— Psie! Arika-tugh pokonał Niedźwiedzie Serce.

— To nikczemne kłamstwo! Ani tyś mnie pokonał, ani tamten. Napadliście na mnie podstępem. Oto wszystko, co powiem, ani słowa więcej. Niedźwiedzie Serce pogardza wojownikami, którzy jak tchórzliwe zające uciekają na widok walecznego wroga!

— Będziesz ty jeszcze skomlał, gdy cię weźmiemy na męki.

Apacz nie odpowiedział. Wszyscy czuli, że ten człowiek dotrzyma obietnicy milczenia, zwrócili się więc do swego wodza:

— Noc się rozwidnia. Wkrótce trzeba będzie iść dalej. Zasiądźmy więc, aby odprawić sąd nad tym, który zowie się wodzem Apaczów.

Otoczyli go zwartym kołem, a Czarny Jeleń podniósłszy się wygłosił długą mowę, w której wyliczał występki Apacza wobec Komanczów. Zakończył ją słowami: — Zasłużył na śmierć!

— Czy weźmiemy go do wigwamów? — dopytywano się.

Po długiej naradzie postanowiono zabić wroga na miejscu.

— Jaką ma zginąć śmiercią? — zapytał Arika-tugh.

I znowu długo naradzano się nad tym. Decyzja była trudna. Niezwykły jeńiec musiał przecież umrzeć w niezwykłych mękach. Podczas narady hrabia, który milczał dotychczas, podniósł się i poprosił o głos:

— Czy wolno mi powiedzieć parę słów mym czerwonym braciom?

— Tak — odrzekł Czarny Jeleń.

— Czy człowiek ten należy częściowo i do mnie?

— Nie! Przrzekłeś go nam.

— A kto go obezwładnił?

— Ty.

— Czy spełniliście to, coście mi obiecali?

— Nie. Było to ponad nasze siły.

— W takim razie upadają wzajemne obietnice i jeńiec należy tylko do tego, kto go obezwładnił. Niechaj zginie taką samą śmiercią, jaką dla mnie przeznaczył. Przywiążemy go do tego samego

drzewa, niechaj ginie od krokodyli. Będzie znosił te same piekielne męki, których ja tak dotkliwie zaznałem!

Komanczowie zaczęli wydawać radosne okrzyki na znak zgody. Oczy wszystkich zwróciły się ku Apaczowi. Chcieli wyczytać z jego twarzy, jakie wrażenie wywarł na nim wyrok. Twarz ta była jednak jak z kamienia, Niedźwiedzie Serce nawet nie drgnął.

— Czy mamy dosyć lass? — upewniał się Rodriganda.

— Nie zabraknie ich, a zresztą tutaj leżą jeszcze te, na których ty wisiałeś.

— Dobrze! W takim razie zwiążemy go tak samo, jak mnie związał.

Tak zrobili. Następnie Czarny Jeleń zapytał szyderczo:

— Czy wódz Apaczów ma jeszcze jakąś prośbę? Niedźwiedzie Serce popatrzył na kilkunastu wrogów,

którzy stali obok niego. Gdy się tylko obudził z omdlenia, zauważył, że leży nad sadzawką na górze El Reparo i wiedział, jaki los go czeka, dlatego też wyrok nie wywarł na nim wrażenia. Obrzucił Komanczów uważnym spojrzeniem, jakby notując sobie w pamięci rysy każdego, i rzekł:

— Wódz Apaczów nigdy o nic nie prosi. Zginiecie wszyscy, jak tu jesteście. Shosh-in-lit nie będzie ryczeć ani wrzeszczeć, jak to czynił biały hrabia! Powiedziałem. Howgh!

Jeden z najmocniejszych Komanczów wdrapał się na drzewo. Nie upłynęły dwie minuty, a Niedźwiedzie Serce wisiał nad wodą w pozycji, w jakiej niedawno jeszcze znajdował się hrabia. I znowu krokodyle zebrały się wkoło ofiary.

Komanczowie przyglądali się jakiś czas, jak Niedźwiedzie Serce z najwyższym spokojem unosi nogi przed paszczami aligatorów, po czym nacieszywszy się tym widokiem powrócili do swoich spraw.

— Czy bracia moi zmierzają do swych pastwisk? — zapytał hrabia.

— Najpierw musimy dokonać zemsty — odparł ponuro Czarny Jeleń.

— Czy pójdziecie za mną, jeśli was poprowadzę ku temu celowi?

— Dokąd?

— Powiem o tym później, gdy tylko przekonamy się, że my jedni uniknęliśmy śmierci.

— Musisz o wszystkim powiedzieć zaraz — rzekł wódz Komanczów — nie mamy bowiem szczęścia z naszym białym bratem.

— I mnie nie bardzo się powiodło z moimi czerwonymi braćmi. Niechaj więc rozproszą się teraz i szukają swych towarzyszy. Później kiedy się zbierzemy, powiem jakiej dokonamy zemsty.

— Gdzie się spotkamy?

— Tu, na tym miejscu.

— Dobrze, spróbujemy. Może tym razem szczęście nam bardziej dopisze.

Poszli, aby szukać reszty niedobitków. Hrabia został jeszcze przez chwilę, lubując się widokiem wiszącego nad krokodylami wroga, po czym również odszedł. Miał zamiar udać się do strumienia i zbadać, co tam wczoraj robił Bawole Czoło. To było główną przyczyną, dla której namówił Komanczów, aby się oddalili.

Zaledwie hrabia zniknął Apaczowi z oczu, uśmiech rozjaśnił jego twarz. Ponieważ lasso miał przeciągnięte pod ramionami, mógł podźwignąć się nieco, zupełnie jak na trapezie. Mógł także unieść nogi. Po chwili udało mu się chwycić lasso dłońmi i przytrzymać je kolanami. Potem wyginając się i chwytając sznur na przemian to rękami, to kolanami, zaczął windować się w górę, aż spocony z wysiłku, dzięki olbrzymiej sile swych mięśni dostał się na konar. Przywarłszy do niego, odpoczywał chwilę.

Na razie wymknął się krokodylom, lecz niebezpieczeństwo było jeszcze wielkie. Gdyby zjawił

się teraz któryś z Komanczów albo gdyby nie mógł oswobodzić się z pęt, byłby zgubiony. Leżał na boku z trudem utrzymując równowagę. Ostrożnie zgiął kolana i dzięki temu mógł dosięgnąć rękami rzemienia, który krępował mu nogi. Namacawszy węzeł, zaczął go rozsypywać. Trwało to bardzo długo. Wreszcie wyswobodził nogi. Usiadł na konarze i związanymi na plecach rękami próbował dosięgnąć tego miejsca na gałęzi, gdzie przywiązany był górny koniec lassa. Po żmudnych wysiłkach zdołał wreszcie rozwiązać rzemień i zsunąć się z drzewa. Był ocalony.

Wydał cichy okrzyk radości. Jeszcze raz spojrział na krokodyle, które leżąc na brzegu kłapały straszliwie paszczami, i pośpieszył do lasu, aby się w nim ukryć.

Musiał jeszcze uwolnić ręce. Przeciskając się między krzakami i skałami, rozglądał się uważnie, szukając czegoś, co pozwoliłoby mu przeciąć więzy. Wreszcie znalazł. Była to krawędź skały tak ostra, że mogła rozciąć rzemień. Oparł się o nią grzbietem i tak długo tarł rękami o krawędź, aż wiązanie pękło. Teraz był wolny.

Walka, która z początku toczyła się na dziedzińcu folwarku, przeniosła się na otwarte pole. Trwała jeszcze ponad godzinę. Wreszcie Bawole Czoło zwołał mieszkańców hacjendy. Wokoło leżeli pozabijani Indianie. Nawet w ciemności można było rozpoznać, że zginęło ich przeszło stu.

— Zapamiętają nauczkę i nie wrócą tak prędko — rzekł Arbellez uradowany zwycięstwem.

— Niech pan spojrzy, don Pedro, na tych tam — powiedział stary Francisco, wskazując na trupy Indian, leżące przy wejściu do domu. — To dzieło mojej armaty. Ciała poszarpane na strzępy.

— Nie wszystko jeszcze skończone. Musimy wytropić resztę Komanczów — oświadczył Bawole Czoło.

— Gdzie ich szukać?

— Po tamtej stronie strumienia są ślady. Uciekli zapewne w stronę El Reparo, gdzie zebrali się przed napadem. Czy przydzielili mi pan dwudziestu vaquerów? — zwrócił się do Arbelleza.

— Oczywiście — odpowiedział don Pedro.

— Gdzie też może być Niedźwiedzie Serce? — zastanawiał się Francisco.

— W niewoli — odparł wódz Miksteków.

— To niemożliwe, dlaczego tak sądzisz? — zawołał przerażony don Pedro.

— Bo go tu nie ma.

— Może nie wrócił jeszcze z pościgu?

— Nie, nie przypuszczam.

— W takim razie nie żyje albo jest ranny!

— Nie, znaleźlibyśmy go na pewno. Pobiegł za Czarnym Jeleniem. Komanczowie, będąc w przeważającej liczbie, najwidoczniej go porwali.

— Musimy Apacza oswobodzić! — zawołał Francisco.

— Uwolnimy go z pewnością — powiedział twardo Bawole Czoło. — Wezmę jego strzelbę, być może mu się przyda. A teraz na koń!

Dwudziestu ludzi dosiadło koni i ruszyło galopem. Aby zmylić czujność wroga, zatoczyli łuk i przybyli o świcie na El Reparo od strony południowej.

— Zsiądźcie z koni — rozkazał Bawole Czoło.

— Po co? — zapytał Francisco.

— Musimy podkraść się do nieprzyjaciela, konie by nam przeszkadzały. Niech Sanchez zostanie przy nich.

Vaquero został przy zwierzętach, reszta pod osłoną drzew wdrapała się na górę. Gdy dotarli na szczyt, było już zupełnie jasno. Posuwali się ku ruinom z największą ostrożnością. Nagle usłyszeli okrzyk:

— Uff!

Ujrzeni nie uzbrojonego Indianina, śpieszył do nich.

— Czy to możliwe? Niedźwiedzie Serce! — zawołał jeden z vaquerów.

— Tak, to on. To Apacz! — wykrzyknął radośnie Bawole Czoło.

— Więc nie był w niewoli?

— Ależ oczywiście, że był pojmany. Czy nie widzicie, że nie ma przy sobie broni? Był schwytany przez wroga i zbiegł.

Apacz przemknął przez polanę jak strzała. Po chwili stanął przed nimi.

— Uff! — powitał go Bawole Czoło. — Brat mój. Niedźwiedzie Serce, był w niewoli?

— Tak.

— Nieprzyjaciół było zbyt wielu, więc go zwyciężyli?

— Nie. Walczyłem z Czarnym Jeleniem. Wtem podeszła z tyłu zdradziecka blada twarz i uderzyła mnie kolbą w głowę. Padłem ogłuszony. Obudziwszy się ujrzałem, że jestem wśród Komanczów. Błada twarz stała nade mną.

— Któż jest tą bladą twarzą?

— Hrabia

— A więc żyje!? Krokodyle go nie pożarły!?

— Niestety, żyje. Te psy Komańcze znalazły go i ocaliły. To on poprowadził ich na hacjendę, walczył po ich stronie.

— Walczył przeciw swojej własności! Przeciw własnym ludziom! Zdejmiemy z niego skalp. Gdzie jest, gdzie się ukrywa?

— W górach. Ma się spotkać z Komańczami nad sadzawką.

— To tam się zbiorą?

— Byli już tam. Zeszli na równinę, żeby zebrać rozproszonych towarzyszy, ale wróć.

— Czy brat mój jest tego pewien?

— Tak. Wisząc na drzewie, słyszałem ich rozmowę.

— Na jakim drzewie?

— Nad krokodyłami. Bawole Czoło aż zadrżał.

— Wisiałeś nad aligatorami? Tak samo, jak hrabia?

— Tak samo. Za jego namową powieszono mnie na lassach.

— Jak się *brat* mój uwolnił? Niedźwiedzie Serce odparł z lekceważeniem:

— Wódz Apaczów nie boi się ani Komanczów, ani krokodyli. Zaczekał, aż wróg odejdzie, a potem się oswobodził.

— Niedźwiedzie Serce jest m

drym i dzielnym wojownikiem, jest ulubieńcem Wielkiego Manitu. Inny nie dałby sobie tak szybko rady. Kiedy Komanczowie wrócą nad sadzawkę?

— Tego nie mówili. W każdym razie ukryjemy się i zaczekamy na nich.

— Tylko uważajmy, by nie zostawić śladów. Oto twoja strzelba, przyniosłem ci ją.

— Tomahawk zabrał mi Czarny Jeleń — rzekł gniewnie Apacz. — Lecz odda go razem ze swoim. Dajcie mi prochu i kul, a poprowadzę was. Wkrótce pomknęli przez las, zacierając za sobą ślady.

Kiedy dotarli nad staw, ukryli się dobrze. Sami niewidzialni, mogli dokładnie obserwować okolice.

Po udzieleniu wskazówek vaquerom jak strzelać, by nie marnować na jednego nieprzyjaciela dwóch kul, obaj wodzowie usiedli obok siebie.

— Co będzie — spytał Bawole Czoło — gdy Komanczowie zobaczą, że wódz Apaczów im uciekł? Domyśla się, że sprowadzi pomoc.

— Nie zauważą ucieczki.

To mówiąc Niedźwiedzie Serce wyszedł z zarośli i zbliżył się do drzewa cedrowego, na którym wisiał: W pobliżu pnia leżały jeszcze lassa, którymi był przywiązany. Wziął ostry kamień i rozciął dolną część rzemieni tak, że wyglądały, jakby się same rozdarły. Potem wlaź na drzewo i przywiązał rzemienie do konara, podobnie jak były umocowane poprzednio. Teraz mogło się wydawać, że krokodyle ściągnęły wiszącego do wody.

Kiedy stanął przed Bawolim Czołem, ten rzekł:

— Brat rnoj postąpił roztropnie. Komanczowie nie będą ani przez chwilę przypuszczać, że uciekłeś.

Leżeli cicho w kryjówce i czekali. Po upływie pewnego czasu rozległ się tętent. Nadszedli dwaj Komanczowie.

— Uff! — zawołał jeden z nich, nie widząc Indianina na drzewie.

— Uciekł! — dodał drugi.

— Nie! Lasso przerwane. Już go rozszarpały krokodyle.

— Nie wejdzie do Wiecznych Ostępów, bo pożarły go zwierzęta. Dusza jego błędzić będzie wśród tych nieszczęsnych cieni, które trawi rozpacz i ból. Przeklęty jest Apacz w tym i przyszłym życiu!

— Zsiadajmy z koni. Zaczekamy tu na resztę. Zeskoczywszy, zabrali się do uwiązywania wierzchowców.

— Oskalpujemy ich? — zapytał Apacz.

— Dobrze, ale nie masz przecież noża.

— Nóż wezmę od któregoś z nich.

Oparł strzelbę o drzewo i posunął się naprzód. Miksteka mu towarzyszył. Dostawszy się na skraj zarośli, ruszyli jak dwa tygrysy ku Komańczom, nie przeczuwającym nic złego. Niedźwiedzie Serce pochwycił jednego z nich za gardło, wyrwał mu nóż zza pasa i przebił nim serce. W ciągu dwóch minut Apacz trzymał już w ręku skalp wroga. Bawole Czoło postąpił tak samo. Komanczowie nie mieli nawet czasu krzyknąć.

— Co zrobimy z trupami? — spytał Bawole Czoło.

— Damy je krokodylom na pożarcie.

Aligatory zwietryły bliskość ludzi. Wsunawszy się na powierzchnię, podpłynęły ku brzegowi. Znowu czekały na ofiarę. Wodzowie zabrali broń wrogom i wrzucili ich ciała do wody. Wyglodniałe bestie rzuciły się na żer. Nie upłynęła nawet minuta, a oba trupy zniknęły w ich paszczach. Nie zostało nic prócz części ręki z dwoma palcami. Wzburzone przez zwierzęta fale wyrzuciły ją na brzeg.

Apacz i Miksteka zatarłszy ślady, wrócili do kryjówki.

Wkrótce rozległ się znowu tętent kopyt. Czarny Jeleń pędził na czele jakichś trzydziestu wojowników. Widząc, że Apacza nie ma na drzewie, rzekł sam do siebie:

— Gdzie Niedźwiedzie Serce? Czyżby umknął?

Podjechałszy tuż nad wodę, zobaczył część ręki. Zeskoczył z konia, podniósł ją i zaczął się uważnie przypatrywać.

— Uff! Pożarły go! To kawałek jego lewej ręki. Obejrzeć lassa! — krzyknął do Indian.

Po wykonaniu tego rozkazu stwierdzono niezbitcie, że krokodyle ściągnęły Apacza z drzewa i pożarły.

— Odszedł w świat ciemności!

Po tych słowach Czarny Jeleń rzucił do wody kikut ręki. Aligatory połknęły go łapczywie.

Komanczowie rozłożyli się na brzegu. Po pewnym czasie przybył jeszcze jeden oddział zabłąkanych, nad stawem zasiadło około pięćdziesięciu Indian. Czarny Jeleń pierwszy przerwał milczenie:

— Kto widział bladą twarz?

— Mówisz o hrabi?

— Tak.

Okazało się, że nikt nie widział hrabiego.

— Poszukać jego śladów! Wstali, aby wykonać rozkaz wodza.

— Mogą nas odkryć — szepnął Apacz. Bawole Czoło potwierdził skinieniem głowy.

— Tu zatarliśmy ślady, lecz jeżeli pójdą dalej, znajdą je. Trzeba zaczynać. Dam hasło!

Zakaszłał głośno na znak, że można brać się do dzieła. Z zarośli wysunęły się lufy dwudziestu strzelb,

— Ognia! — krzyknął Bawole Czoło.

Huknęły dwadzieścia dwa strzały, a potem jeszcze dwa z dubeltówek wodzów. Tyluż Komanczów padło śmiertelnie ugodzonych. Reszta zerwała się i popędziła do koni. Vaquerowie ponownie załadowali broń.

Komanczowie byli przekonani, że w zaroślach kryje się wielu białych. Nie próbowali więc już ataku, lecz rzucili się do ucieczki. Wtedy dosięgła ich druga salwa, niemal tak samo skuteczna, jak pierwsza.

Niedźwiedzie Serce pilnował Czarnego Jelenia. Wcześniej wydał swym ludziom rozkaz, żeby nie strzelali do wodza Komanczów. Kiedy zaczął on uciekać z niedobitkami wojowników, Apacz wyszedł z zarośli i podniósłszy strzelbę, wycelował w jego konia: chciał dostać żywego wodza. Huknął strzał; zwierzę, ugodzone śmiertelnie, przewróciło się, zrzucając jeźdźca. W dwóch skokach Apacz stanął przy Czarnym Jeleniu, zanim ten zdołał podnieść się z ziemi.

Czarny Jeleń, jak wszyscy Komanczowie, nie strzelał dotąd, więc miał nabitą broń. Zerwawszy się z ziemi, wymierzył w Apacza.

— Psie — zawołał — żyjesz jeszcze?! A więc giń! Niedźwiedzie Serce skoczył, odtrącił lufę, strzał chybił.

— Wódz Apaczów nie zginie z ręki tchórzliwego Komańcza. Przeciwnie, to ja zabiorę twoją duszę, aby służyła mi w Wiecznych Ostępach!

Po tych słowach ogłuszył Czarnego Jelenia kolbą i zaniósł go na miejsce, gdzie Arika-tugh siedział niedawno w otoczeniu swych wojowników. Tam czekał spokojnie, dopóki wódz nie odzyska przytomności.

Vaquerowie nie ścigali tych kilku wrogów, którym udało się zbiec, nie uważali ich bowiem za niebezpiecznych. Rzucili się natomiast na poległych, aby im zabrać broń i amunicję.

Obaj wodzowie siedzieli przy Czarnym Jeleniu, nie troszcząc się o łupy. Gdy zaczęli wiązać jeńca, odzyskał przytomność.

— Czarny Jeleń może zaśpiewać swą pieśń śmierci, pozwalam mu na to — rzekł Niedźwiedzie Serce.

Wódz Komanczów milczał.

— Komanczowie śpiewają jak wrony lub żaby, dlatego wolą się nie popisywać — szydził Bawole Czoło.

Jeniec wciąż milczał.

— W takim razie umrzesz bez pieśni śmierci — powiedział Shosh-in-lit.

Teraz dopiero zapytał Czarny Jeleń:

— Powiesicie mnie na tym drzewie?

— Nie — odparł Apacz. — Nie chcę cię dręczyć, pożrą cię krokodyle, jak mnie miały pożreć.

Najpierw jednak zdejmę ci skalp, aby po powrocie pokazać dzielnym synom Apaczów, jakim podłym tchórzem był Czarny Jeleń, Odbieram swój nóż i tomahawk.

Powiedziawszy to wyjął zza pasa jeńca wymienione przedmioty.

— Czy chcesz mnie naprawdę oskalpować? — zapytał jeniec z przerażeniem.

— Tak. Skóra twoja do mnie należy. — Zdejmiesz ją ze mnie żywcem?

— A jakże! Czy mam szukać twego skkalpu w brzuchu krokodyla, gdy cię już połknie?

— Zabij mnie przedtem!

— Boisz się? W takim razie nie zaznasz litości!

Po tych słowach wziął nóż, lewą ręką pochwycił czuprynę wodza, prawą zaś wykonał trzy prawidłowe cięcia, zdejmując mu włosy z głowy. Po chwili miał skalp w ręce. Czarny Jeleń zawył z bólu.

— Jesteś tchórzem! Krzyczysz jak squaw — zauważył Niedźwiedzie Serce.

— Zepchniemy go do wody — dodał Bawole Czoło — ale nogami, bo nie jest wart, abyś go dotykał ręką.

— Mój brat ma rację. Rzucę go krokodylom jak zgniłe ścierwo, którego nie można wziąć do ręki. Waleczny wódz Komanczów ryczał jak stara baba. Niechaj więc nie ma grobowca ani na szczycie górskim, ani w dolinie. Ludzie jego plemienia, nie będą mogli odbywać pielgrzymek, żeby sławić jego imię, albowiem zniknie w brzuchu krokodyli.

To mówiąc, nogami strącił Czarnego Jelenia do wody. Aligatory rzuciły się nań natychmiast.

Następnie dwaj wodzowie udali się do koni, by wrócić do hacjendy. Apacz dosiadł wierzchowca jednego z Komanczów.

Opuściwszy sadzawkę, hrabia Alfonso zszedł z góry, aby szukać grotty z królewskim skarbem. Na dawnym miejscu jednak znalazł tylko gruzy. Nadaremnie szperał w nich przez kilka godzin. Widać skarby zostały zabrane. Zakląwszy siarczyście, zaczął wchodzić na szczyt góry, aby się spotkać z Komańczami. Naraz usłyszał tętent. Po chwili stanęło przed nim ośmiu Indian na koniach.

— Dokąd pędzicie?

— Uff! To blada twarz! — rzekł jeden z nich. — Jedziemy do doliny.

— Po co? Przecież nasi ludzie są na górze.

— Wszyscy zabici.

— Zabici? Przez kogo?

— Błede twarze napadły na nas i zabiły cztery razy po dziesięć naszych braci.

— Do diabła!

— Wódz naszego Czarnego Jelenia pożarły krokodyle, przedtem zaś oskalpował go Apacz.

— Apacz? Jaki?

— Niedźwiedzie Serce.

— Do stu tysięcy diabłów! Przecież powiesiliśmy go na drzewie!

— Ale odzyskał wolność. Oswobodzili go zapewne vaquerowie. Gdybyś przy nim pozostał, nie stałoby się to z pewnością.

— Czyście to widzieli na własne oczy?

— Musieliśmy uciekać, ponieważ jednak nie wysłali za nami pościgu, więc dwóch powróciło, by ich śledzić.

- Wszystko przepadło!
- Wszystko, z wyjątkiem zemsty!
- Cóż więc zamierzacie czynić?
- Wrócimy do wigwamów po nowych wojowników.
- Nie przynosząc ze sobą ani jednego skalpu?
- Wielki Duch odwrócił się od nas.
- Ani też nie przywożąc żadnych łupów? — Zdobędziemy je później.
- Cóż byście powiedzieli, gdybym teraz ja postarał się dla was o bogatą i użyteczną zdobycz?
- Przecież nic nie masz, nawet konia!
- Wezmę sobie konia z pastwisk hacjendy, potem wrócę do stolicy Meksyku, wy zaś będziecie mi towarzyszyć.
- Do Meksyku? Po co?
- Będziecie moją strażą, niełatwa to bowiem podróż. Jeżeli zgodzicie się na nią, otrzymacie sute podarki.
- O jakich podarkach myślisz?
- Wybierzecie je sami. Jestem hrabią, wielkim wodzem, mam wszystko, czego dusza zapagnie.
- Czy masz broń, proch i ołów?
- Ile tylko chcecie.
- I perły dla naszych squaw?
- Naturalnie!

Obietnica hrabiego spodobała im się.

- Dobrze, będziemy ci towarzyszyć, będziemy twoją strażą. Tylko musisz każdemu dać strzelbę, tomahawk i po dwa noże. Nie obejdzie się również bez kul i ołowiu.
- Wszystko otrzymacie.
- I perły?
- Dostaniecie perły, łańcuchy z drogich kamieni i pierścienie.
- Zgoda, idziemy z tobą. Ale pamiętaj: zginiesz, jeżeli nas oszukasz. Tylko dwóch z tobą nie pójdzie, muszą wrócić do naszych obozów, aby sprowadzić mścicieli.
- Czy nie można tej wyprawy odłożyć?
- Nie. Zemsty musimy dokonać czym prędzej.
- Dobrze. Sześciu mi wystarczy.

Wylosowano więc dwu wojowników, bo nikt nie chciał iść dobrowolnie. Woleli jechać do Meksyku po bogate dary niż wracać ze wstydem i hańbą do rodzinnych siedzib. Pozostałych sześciu wybrało spośród siebie starszego. Rozstawszy się z dwoma wysłannikami, udali się na poszukiwanie wierzchowca dla hrabiego.

Wysłannicy zamiast udać się wprost na północ, postanowili pojechać drogą okrężną, by uniknąć spotkania z wrogiem. Skręcili ku południowemu stokowi góry El Reparo. I właśnie tu spotkało ich to, czego chcieli uniknąć.

Vaquerowie, ograbiwszy zwłoki Indian z broni, rzucili je na pożarcie krokodylom. Po czym wszyscy wsiedli na konie, by wracać do hacjendy. W chwili gdy wyjechali z lasu i mieli właśnie skręcić w dolinę. Niedźwiedzie Serce zatrzymał się nagle.

- Uff! — zawołał, wskazując przed siebie.
- To Komańcze! — rzekł Bawole Czoło.
- Pojmiemy ich!
- Trzeba ich wziąć żywych. Żwawo, przygotujcie lassa! Kiedy Komańcze zbliżyli się,

vaquerowie wypadli z lasu.

Indianie stanęli jak wryci, po czym spięli konie do ucieczki. Nie dali jednak rady. Schwytano ich po niedługim pościgu, choć bronili się z całych sił, a nawet zranili kilku vaquerów.

Niedźwiedzie Serce podszedł do nich i rzekł:

— Jeżeli nie odpowiecie na nasze pytania, zdejmemy wam skalpy i powiększycie liczbę ofiar, pożartych przez krokodyle.

Wzdrygnęli się na myśl o śmierci, jaką zginął ich wódz. Jeden z nich zapytał:

— Co chcesz wiedzieć?

— Ilu was pozostało przy życiu?

— Ośmiu.

— Gdzie tamtych sześciu?

— Zostali przy hrabi.

— A gdzie on jest?

— Tego nie wiemy.

Wódz Apaczów wyciągnął nóż.

— Jeżeli nie powiecie prawdy, żywcem zedrę wam skórę z głowy.

— A jeżeli powiemy?

— Umrzecie śmiercią mniej bolesną i szybszą.

— Czy zostawisz nam skalpy i pochowasz nas z bronią?

— Uczynię to, chociaż nie zasłużyliście, wy psy przekłete!

— Pytaj więc dalej.

Dzicy wierzą, że bez skalpu, bez broni, bez prawdziwego pogrzebu nikt nie przedostanie się do Wiecznych Ostępów.

— Gdzie jest hrabia?

— Udał się na pastwiska białych twarzy, aby tam ukraść dla siebie konia. Później chce się dostać do Meksyku, dokąd go ma odprowadzić tych sześciu naszych, których wziął do obrony.

— Co im za to obiecał?

— Strzelby, noże, proch i drogocenne kamienie dla ich squaw.

Bawole Czoło potrząsnął głową.

— Hrabia nie potrzebuje takiej opieki. Mógłby przecież znaleźć ją wśród białych. Albo to jeszcze większy tchórz, aniżeli przypuszczam, albo też nosi się z jakimiś tajemniczymi zamiarami.

Mówicie prawdę?

— Nie kłamiemy.

— W jakim kierunku ruszyli? — Prosto na wschód.

— Gdzie rozstaliście się z nimi?

— Tam gdzie na wschodzie góra dotyka doliny.

— Spotkaliście go podczas ucieczki, gdy wracał z doliny?

— Tak.

— Wiem już, gdzie był. Znajdę jego ślad. Odpowiedzieliście na wszystko. Zginiecie szybką śmiercią.

Po tych słowach podniósł dwururkę i przestrzelił głowy obydwóch; nawet nie drgnęli na widok luf.

— Sanchez i Juanito — rzekł Apacz — przysypiecie tych Komanczów kamieniami, chcę bowiem dotrzymać słowa. My zaś pójdziemy tropem hrabiego, może uda nam się pochwycić zdrajcę.

Bystry wzrok Bawolego Czoła i Niedźwiedziego Serca odnalazł z łatwością ślady hrabiego i

jego towarzyszy. Wiodły one ku pastwiskom, których nikt nie pilnował, bo wszyscy vaquerowie znajdowali się jeszcze w hacjendzie. Ślady świadczyły, że schwytano jednego konia, a następnie hrabia wraz z Indianami udał się w kierunku południowym.

Szli po siadach jeszcze jakąś godzinę, po czym Bawole Czoło rozkazał się zatrzymać.

— Dalej nie pójdziemy — powiedział. — Jesteśmy potrzebni w hacjendzie. Wiemy już, że hrabia udał się w kierunku Meksyku. Nie ujdzie nam. Znajdziemy go, choćby się skrył pod ziemię.

Wrócili do hacjendy. Tam życie płynęło już normalnym trybem. Vaquerowie uprzątnęli zwłoki Indian i znieśli szańce, usypane przed najazdem. Don Pedro powitał ich radośnie.

— Dzięki Bogu, że przybywacie! Już byliśmy o was niespokojni. Jak się udało?

— Czarny Jeleń nie żyje — odparł Bawole Czoło.

— A inni?

— Zginęli. Uszło 2 życiem tylko sześcioro.

— Dokąd się udali?

— Do Meksyku. Odprowadzają hrabiego. Lecz i oni nam nie umkną.

— A więc sądzicie, że teraz jesteśmy bezpieczni? — zapytał don Pedro. — Że możemy wieść spokojne życie? Ale co zrobimy z trupami, gdzie je pogrzebiemy?

Przez twarz Bawolego Czoła przemknął tajemniczy uśmiech.

— Nie będziemy zanieczyszczać powietrza hacjendy. Najlepiej pochować je w pobliżu góry El Reparo. Czy mogę zatrzymać jeszcze na dziś dwudziestu vaquerów? Z ich pomocą pochowam zmarłych.

— Skoro jesteś pewien, że nic już nie grozi hacjendzie, zatrzymaj ich.

— Co się dzieje z naszym bratem, Piorunowym Grotem?

— Leży wciąż bez przytomności.

— Trzeba zajrzeć do niego.

Obaj wodzowie weszli do domu. Bawole Czoło zaprowadził Niedźwiedzie Serce do pokoju swojej siostry, w którym złożył był złoto i klejnoty przeznaczone dla Ungera. Karia leżała w hamaku, patrząc nieruchomo przed siebie. Na widok wchodzących zerwała się i zapytała:

— Przybywacie jako zwycięzcy? A on? Czy go już mają krokodyle?

— Nie! — zaprzeczył Bawole Czoło, przyglądając jej się badawczo.

— Nie? Więc uniknął zasłużonej kary?

Bawole Czoło był rad, że Karia myśli nie o miłości, tylko o zemście.

— Te psy Komańcze — rzekł — uwolniły go. Na jego miejscu powiesiły brata mego, wodza Apaczów, który cudem tylko uniknął śmierci.

Indianka obrzuciła Niedźwiedzie Serce zdumionym spojrzeniem. U jego pasa wisiało kilka nowych skalpów. Karia popatrzyła z zachwytem na piękną, męską postać Apacza, a na myśl, że krokodyle mogły go rozszarpać, doznała dziwnego, nie znanego jej dotychczas uczucia.

Przygotowano na podstawie bookini.pl